











**WYSOKIE**

**W XVII WIEKU**

CZYLI

**ARYANIE W POLSCE.**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

**ANTONIEGO WIENIARSKIEGO.**



miasteczko, i za przywilejem Karla  
ego z roku 1368, nadaniem praw  
szlacheckich (2).

to było w posiadaniu rodziny Ger-  
j szlacheckich w latach 1500—1530  
y *Thomasius de Wysokie, Silesien*

**PETERSBURG.**

NAKLADEM B. M. WOLFFA.

BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-00



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cen-  
zury. po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzem-  
plarzy.

W Warszawie dnia 18 (30) marca 1851 r.

Starszy Cenzor,

L. I. TRIPPLIN.

3609

<http://rcin.org.pl>

W Drukarni Gazety Codziennej.

## WSTĘP.

---



ysokie (1) leży w gubernii Lubelskiej, powiecie Krasnostawskim, i jest własnością Kajetana Hrabi Karnickiego; było miastem do r. 1822, w którym zamieniono jego nazwę na wolną, bezpieczeństwa osadę.

Mało znane są początki Wysokiego. Założone około roku 1360 przez Łukasza Górkę, który wystawił zamek, ufundował miasteczko, i za przywilejem Króla Kazimierza Wielkiego z roku 1368, nadaniem praw Magdeburskich uposażył (2).

Jak długo Wysokie było w posiadaniu rodziny Górków, niema pewnej wiadomości; w latach 1382—1436 znajdują się podpisy *Tomislaus de Wysokie*, i *Dere-słai de Wysokie Castell. Lublinensis* (3) ale później

---

1) Wiadomość historyczna.

2) Dług. IX, 1104.

3) Vol. Leg. T. I pag. 59, 117. <http://www.dlib.org.pl>



nie ma już żadnej wzmianki aż do r. 1596, w który dwaj bracia, Piotr i Łukasz Kaszowscy, dzielili się majątkością Wysokie (1). Piotr Kaszewski, Sędzia grodzki Lubelski, wraz z Pszonką byli twórcami Rzezypospolitej Babińskiej, w której Pszonka był Kanclerzem (2). Na Sejmie Lubelskim w r. 1569 Piotr Kaszowski zapytany od Króla Zygmunta Augusta: czemu sobie do swej Rzplitej Króla nieobiorą, odpowiedział: „Niech Bóg obrania, abyśmy za życia W. K. M. o innym Królu [myśleć mieli“ (3). Odpowiedź ta wielce podobała się Królowi. Tenże Kaszowski podpisał akt Unii na Sejmie Lubelskim (4). Był Deputatem do dóbr królewskich (5). Obstawiał przeciwko zbytcej władzy Prymasów (6). O tymże Kaszowskim piszą kronikarze, iż był uczonym i wielce biegłym (7).

Po śmierci Piotra i Łukasza Kaszowskich, obiedwie dzielnice przeszły na obcą własność, gdyż Kaszowscy zeszli bezdzietnie. Część Piotra nabył Adam Pszonka, Podkomorzy Lubelski, a Łukasza Mikołaj z Lubieńca Lubieniecki, Aryanin. Niedługo i Pszonka był posia-

---

1) Akta kościoła Wysockiego.

2) Książ Waga.

3) Niemcewicz.

4) Vol. Leg. T. I pag. 768.

5) Vol. Leg. pag. 786.

6) Bielski, Zbiór Pis. Pol. T. XVIII pag. 43.

7) Strykowski, — Waga.



daczem pierwszej części: w posagu za córką oddał ją Serbinowiczowi, Stolnikowi Samborzeckiemu, także Aryaninowi (1). Syn Mikołaja, Stanisław, był Pastorem zborów Aryańskich w Lubelskiem (2). Po wygnaniu Aryanów nabył całe już Wysokie w r. 1660 Wawrzyniec Domaszewski, i zostawił synom swoim Kazimierzowi i Jakubowi, a od nich w r. 1700 kupił Stanisław Ksiązę Jabłonowski, Kasztelan Krakowski i Hetman Wielki Koronny; prawem spadku posiadali je: Jan Jabłonowski Wojewoda Ruski, Jan Kajetan Wojewoda Braclawski, Anną z Sapiehów Księżna Jabłowska, »Pani nie tylko wielkich serca i umysłu przymiotów, ale i dla wielkiej rozkrzewienia nauk usilności, może się słusznie nazwać ozdobą tego wieku.« (3). Ignacy Krasiecki, Ksiązę Arcyiskup Gnieźnieński, przejeżdżając przez Wysokie, tak o niem pisze:

„Wszystkim chłopom i mieszczanom tego losu życzę,  
„Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze (4).“

Księżna w r. 1803 darowała Wysokie Ks. Maciejowi Jabłonowskiemu, po którym posiadali syn Ludwik, i wnuk Karol, aż w r. 1839 nabył je Hr. Karnicki.

---

1) Inwentarz z r. 1663.—Akta kościoła Wysockiego.

2) Niesiecki.—Vitte Diar. Biogr. T. III, fol. 162.

3) Fr. Bohomolec w przedmowie do Kroniki Gwagnna.

4) Wyjazd z Warszawy na wieś, list do Ks. Poniatowskiego.

Kościół wybudowany w r. 1413 przez Jana Bidzińskiego, Stolnika Sandomierskiego, konsekrowany przez Wojciecha Jastrzębiec, Biskupa Krakowskiego, w r. 1417 (1), dopiero około r. 1798 uległ zniszczeniu; nowy postawiony nakładem Księżny z Sapiechów Jabłonowskiej. O zamku poniżej damy wiadomość, a inne szczegóły historyczne w większem zebraniu drukiem ogłoszą się.

*Aryanie Polscy.* Brat Cesarza Karola V, Ferdynand I, od r. 1526 Król Czeski i Węgierski, a nadto Cesarz od r. 1556 do r. 1564, wypędził z Czech zwolenników nauki Hussa, tak zwanych braci Czeskich. Ci w 1548, w którym Zygmunt August obejmował rządy kraju, znaleźli przytułek w Wielkopolsce, pod zastoną Górków i Ostrorogów. Tu, na Soborze w Koźminku w r. 1555., połączyli się z nimi zwolennicy Kalwina. R. 1556 dnia 21 stycznia, na zjeździe polskich różnowierców w Secyminie (w Sandomierskiem), Piotr Goniączka, zarażony zdaniem Serveta Hiszpana, oraz Leliusza i Fausta Socynów Toskańczyków, targnął się na główny w chrześcijaństwie dogmat Trójcy Śej. Wszczęte ztąd wzburzenie umysłów, chciano (lecz napróżno) uspokoić na zwołanym w r. 1560 soborze do Książa, miasteczka Bonarów w Krakowskiem. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, Czarnym zwany,

---

1) Akta kościoła.



był przewodnikiem tego zjazdu; r. 1562 ogłosił Go-  
niądzki drukiem swe bezbożne zasady, Grzegorz Pauli  
z Brescii (w Italii) zaczął mu potakiwać, i tak zawią-  
zała się rozwinięta później przez Fausta Socyna sekta  
*Aryanów Polskich*. Przeciwko zasadom tej sekty wy-  
stąpił r. 1563, na zjeździe Krakowskim różnowierców,  
Stanisław Sarnicki, broniąc swego Helweckiego wy-  
znania; w r. 1564, na sejmie pod dniem 7 sierpnia,  
wywołał tę sektę z kraju Zygmunt August, na Piotr-  
kowskim zaś, zatwierdzając wyznanie Braci Czeskich,  
ponowił to Kardynał Hozyusz, z niedającej usprawie-  
dliwić się ani nawet usprawiedliwionej zasady, wy-  
mógł na Zygmuncie Auguście, iż ten Król zaniechał  
przywieśdź do skutku co był postanowił względem  
Aryanów.

Roku 1570 w Sandomierzu zjednoczyły się trzy wy-  
znania, to jest: Helweckie, Czeskie i Luterskie, wy-  
łączyły zaś od współnictwa Aryanów (1). Tę ugodę po-  
nowili w miesiącu maju t. r. różnowiercy wielko-pol-  
scy na swym zjeździe w Poznaniu, a d. 10 lipca t. r.  
na sejmie Warszawskim ogłosił Zygmunt August, iż  
żadnego pozwu *pro haeresi* albo *de religione* znać i  
przyjmować nie chce; ale jednak w r. 1571 d. 18 stycz-  
nia wydał rozkaz Janowi Tęczyńskiemu, Staroście Lu-  
belskiemu, aby do Lublina nie przypuszczał Arya-

---

1) Akt ugody, Consensus Sandomiriensis, d. 15 apr. an. 1570.

nów (1); pomimo tego jednak Aryanie najwięcej rozmnożyli się w Lubelskiem.

Zygmunt August umarł. Wolne elekeye otworzyły drogę usiłowaniom różnowierców, do wzmocnienia socyalnego stanowiska swoich wyznań. Aryanie przenieśli główne ognisko działań do Rakowa, nauki Fausta Socyna nagromadziły im stronników. Założyli szkoły, drukarnie, tysiące młodzieży odbierało ich nauki; liczne księgi, napojone zasadami arianizmu, dowolnie wytlaczane, krążyły po całym kraju; przewaga stawała się widoczną, i jedni tylko Jezuici zbijali pismami ich nauki; walka ta nie była jeszcze ogólną. Za Zygmunta III, który różnowierców nie cierpiał przy swoim dworze, i żadnych im godności nie dawał, przeciw dwóch Aryanów: Cekowski, Kasztelan Biecki, Podkomorzy Koronny, i Rafał Leszczyński, Wojewoda Bełzki, mieli miejsce w Senacie (2).

Lecz kiedy skryte namowy zmieniły się w jawne nadużycia, bo, jak mówi Siarczyński: »żadne wyznanie nie było tak żarliwe o rozszerzenie swej nauki, jak Aryanie« (3); kiedy Jan Niemojewski wydał pismo: »Okazanie, iż kościół Rzymski nie jest ani Apostolski, ani święty, ani powszechny« (4); kiedy Smalcus, Mos-

---

1) Krzyżanowski: Dawna Polska.

2) Obraz wieku Zyg. III, Siarcz. t. I, pag. 70. — Encyk. Pow. tyt. Aryanie.

3) Obraz wieku Zyg. III, t. II, pag. 199.

4) Raków r. 1583.



korzewski, Łasicki, Otwinowscy i wielu innych, w rozrzuczonych bez liku pismach targnęli się na najświętsze dogmata katolickiej religii (1), nie tylko katolicy, ale i innowiercy dla wykrycia fałszywej nauki wzięli się do pisma. Po Benedykcie Herbercie wystąpił sławny Piotr Skarga, Jezuita, w napisanem dziele: »Zawstydzenie Aryanów« (Kraków r. 1608), dalej Ostrowski Jakób, Kanonik Krakowski, Górski Szymon, Ossoliński Krzysztof Wojewoda Sandomierski, Climentinus Daniel, ewangelik, Sarnicki Stanisław, zwolennik Helweckiego wyznania, i wielu innych. Przeciwno nim wystąpili Aryanie: Moskorzewski, Niemojewscy, Smalcus, Krel (Crelius), Gosławski Adam, Dudzit i inni (2). Odtąd kredyt Aryanów zaczął upadać, a kiedy Otwinowski Erazm w Lublinie rzucił się na kapłana niosącego Najświętszy Sakrament (3), kiedy uczniowie szkoły Rakowskiej targnęli się na wizerunek krzyża Pańskiego (4), kiedy po całym kraju zaczęły się szerzyć napaści (5), za usilnem staraniem Jakóba Zadzika, Biskupa Krakowskiego, r. 1638, skasowano szkoły i zamknięto zbory.

---

1) Antopologia w Baranowie r. 1600, i Assymbolum Soci-nianorum, Kraków r. 1604. Przyczyny nawrócenia z Aryanizmu, Lublin r. 1607.

2) Obraz wieku Zyg. III, t. I i II Siarcz. Encyklop. Pow. Niesiecki. Krzyżanowski.

3) Cichovius, Szkarady Aryańskie, Lwów r. 1663.

4) Encyklop. Pow.

5) Zborowski Aryańskie nagabanie, Kraków r. 1633.

Nieco pierwiej wysłali Aryanie Krzysztofa Osterode do Holandyi, dla rozkrzewienia tam swojej nauki; ale gdy stany państwa potępiły ich zasady, i Osterode wywołany wrócił do Polski, gdy doznane przeszkody rozdrażniły zapalone umysły, Aryanie zasklepili się osobistym interesem i zaczęli pracować nad wzniesieniem swojej reformy, bez braku środków, które im się nastęrczyć mogły.

Środki, jakie wówczas najobfitsze rokowały korzyści, wskazywał nierząd krajowy. Poznali to Aryanie, i postanowili obrócić na swój użytek. Wielu szlachty niechętnych kryjomo połączyli się z niemi i ułatwili stosunki z nieprzyjaciołmi, których wówczas nie brakło Polsce (1). Tak upłynął czas aż do r. 1658, w którym Aryanie, na mocy uchwały Sejmowej, jednozgodnie przyznanej, wypędzeni zostali z Polski (2), mając sobie dozwolone dwa lata czasu do wyprzedania majątków i przeniesienia w obcą ziemię, co im następnych Sejmów uchwały do lat trzech przedłużyły. Wydane usprawiedliwienia Aryanów, w Krakowie i w Kluczborku (w Szlązku), pełne fałszywych twierdzeń i potwarzy, przez wielu z terażniejszych dziejopisów wzięte były za zasadę, że Aryanie wygnani zostali nie jako szkodliwi krajowi, ale jako »różnowiercy.«

---

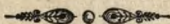
1) Adam Wilkowski, Lekarz Lubelski: Obroty Aryańskie na szkodę Rplitej, Lublin r. 1643.

2) Vol. Leg. t. IV.

Twierdzenie to tem jednym da się usunąć, że Polska wówczas liczyła pomiędzy szlachtą jedną piątą część innowierców, którzy na mocy paktów zaprzysiężonych przez Króla, zaręczających tollerancję wszystkich wyznań, upomnieliby się o zgwałcenie praw, które w następstwie, w uciśnieniu i wywołaniu innych wyznań, powtórzone być mogło.—Kończymy wreszcie z Niemcewiczem: »Żałować atoli należy, iż nieobywatelstwo tej sekty, i zbytńia o rozszerzanie wjary swej gorliwość, przywiodły stany do kroku tak surowego.« (1).

---

1) Przypisy do panowania Jana Kazimierza.









## I.

**W**iatr był przeraźliwie;—to poświstem wtórował burzy, to jaskółczym polotem pchał ciemnoszare chmury, które przemijały się nad głowami, lejąc wodę jak z wiadra;—błyskawice rzucały węzykiem na różne strony, to obciążone piorunem, który z grzmotem uderzał, to osłonięte jasnolitym pasem, zdającym się rozdzierać obłoki.

Na górze, która okolicznym przewodziła przestrzeniom, stał stary zamek, otoczony do koła sosnowym lasem; —niegdyś zapewne obronny, bo wysokie baszty, głębokie, na pół już zawalone przekopy, świadczyły o je-

go pierwotnym stanie. Własność niegdyś zamożnej Górków rodziny (1), świadek licznych zapasów. Wytrzymał on liczne próby, częste napady, hamował wspólne zawiści, i dla tego też baszty podziurawione ołowiem, wyszczerbione ręką czasu, chyliły dumne czoła, i nie długo wróżyły istnienie,—mury porośłe zielskiem wystawiały brudne ramiona, a na nich przeglądał grzyb zczerniały, albo chwast zielonym liściem osłaniał zpleśniałe brzegi.

Stare zamczysko wyglądało jeszcze niezgorzej;—środek wzniesiony wyżej, formował okrągłą wieżę, a dwa jednopiętrowe skrzydła koliły jego postawę. Wysokie okna, każde w osobnej framudze, drzwi wąskie sklepione, długie korytarze u wnijscia, które każda część zamku miała osobne, wskazywały dawność budowy.

Jeden z historyków powiedział: »spytajmy wieków, a one nam prawdę wykryją!«.... ja szukając prawdy, pytałbym starych zamków, zwalonych ruin.... w ich łonie drzemią liczne tajniki, których usta ludzkie dwa razy nie powtarzały, które w samym zarodzie uwięzły w kamiennych ścianach!..... ichbym się pytał, bo to nieme strażniki wielu czynów przeszłości!....

Blizko przez dwa wieki widział Wysocki zamek prze-

---

1) Zamek Wysocki założony około r. 1380 przez Górkę, w r. 1660 uległ zniszczeniu. (Patrz rękopism Pszonki. — Akta kościoła Wysockiego.)



mijających swoich właścicieli, aż wreszcie około roku 1713 przeszedł w ręce Aryanów, którzy za panowania Zygmunta Augusta zaczęli rozkrzewiać się w Polsce, przyniosłszy z sobą błędy Fausta Socyna (1) i skrytą dążność zachwiania katolicyzmu w Polsce. Ubodzy, z każdym rokiem rośli w potęgę i bogactwa, i coraz wido-

---

1) Faust Socyn, po łacinie Socinus, Włoch, rodem z Sienny, z ojca Aleksandra, który był bratem Leliusza Kacermistrza r. 1539 wziął życie. Mało się z młodości do nauk przykładał, lecz powzięte zdania od stryja swego Leliusza gdy chciał rozkrzewić, z Włoch uchodzić musiał. Niezadługo z Lugdunu, gdzie mieszkał po śmierci stryja, przeniósł się na dwór Księcia Toskańskiego, który go nawet przy boku swoim urzędem zaszczycił. Tam był lat 12, lecz znowu porzucił Włochy i trzy lata w Bazylei teologii się uczył. Tamto napisał pierwszą kacerską książkę: „De Jesu Christo Servatore,“ która r. 1595 wybitą została w Rakowie. Wezwany do Siedmiogrodu od Elandraty, lekarza Jana z Zapola Króla Węgier, w Klausenburgu nauczał. Lecz nie podobała się ta nauka nawet najzapaleńszym różnowiercom, i z Węgier uchodzić musiał. Przeniósł się do Polski, gdzie wtedy umysły, chciwe nowości, chwyciły się największych błędów. Osiadł w Krakowie. Wydane przez niego pisma, obraziły Króla Stefana, kazał mu się wynosić z Krakowa. Znalazł jednak schronienie w Pińczowie, a potem w Rakowie, i tam pod opieką Siemińskich założył szkołę. Ożenił się z Elżbietą, córką Krzysztofa Morsztyna, i niezadługo przeniósł się do Pawlikowic, majątku swego teścia. Roku 1587 umarła mu żona, a córkę Agnieszkę wydał za Stanisława Wiszowatego (z Szumki). Kiedy przez zgon Franciszka Medyceusza stracił pobierane dochody, przeniósł się do Krakowa, i zaczął rozsiewać swoje bezbożne nauki. Powstali przeciwko niemu Akademicy Krakowscy i wpadłszy do jego domu, pisma bluźniercze poszarpali i popalili. Unikając następstw, zaczął szukać spokojnego przytułku, i osiadł na wsi u Abrahama Błońskiego w Lusławicach, ale i tam niemogąc ukryć burzliwego charakteru, nie znalazł czego szukał; i w r. 1604 żyć przestał. Grób jego niedawno we wsi Lusławice, należącej do Zakliczyna, w cyr-

czniejszą stawała się ich przewaga. W ich ręku spoczywały znakomite dostatki; członkowie tej sekty, czynni, przemyślni, oddani naukom, przejęci dążnością samostnego bytu, ożywiająca ruch działań XVII wieku (1), umieli omamić ciemne, a tem samem łatwowieczne usposobienie ogółu. Obyczajem innowierców, nie mieli nic wspólnego, nic wiążącego ich jednością, prócz nazwy, bo w ich sercach, zniknęły wszelkie uczucia pod przedsiębiorczą rachubą interesu.

Okolo roku 1640 potęga ich działań wzrosła do wysokiego stopnia, bo rząd kraju bezsilny, zmotany przewagą nieładu, klęski nagromadzone w okolo, otwierały szerokie pole drożnym usiłowaniom, a doznane przeszkody przez zamknięcie szkół i zboru, podsyciły tłące zarzewie nienawiści, i w czarne serca, czarniejsze rzuciły zamiary. Widoczne odcienia tych zamiarów pojawiły się już przy końcu panowania Władysława IV w roznieceniu niezgody między ludem ukraińskim i szla-

---

kule Bocheńskim, w Galicyi, znalezione, zbija wiadomość, którą Feller w Dictionaire historique T. XI pag. 240 podał, iż po wypędzeniu Aryanów z Polski, szczątki zwłok Socyna były z ziemi wydobyte, zawiezione na granice Tatarzy, nabite w działo i w kraj niewiernych wystrzelone.

Samuel Przytkowski życie Fausta Socyna opisał. Był to człowiek zaślepiiony w swoich błędach, burzliwy, zapamiętały, i słusznie przez ówczesnych dziejopisów ojcem kacerzów Polskich nazwany: lecz nie brak mu było zdolności, które dopomagały do uwikłania wielu łatwowiecznych, i wciągania ich na zła drogę.

1) Pátrz Guizota: Dzieje cywilizacyi Europejskiej.



chęcią (1); lecz dopiero za nieszczęśliwych rządów Jana Kazimierza wzmogły się w zadziwiająca siłę, i gdyby nie zbieg wypadków, który wyjawiał ich dążności, kto wie coby wynikło.

Owoż w Wysockim zamku, choć ulewa zalewała ziemię, choć tak ciemno na dworze, jednak kogoś czekano, bo brama nie była jeszcze zamknięta, a w komnacie lewego skrzydła przez zakratowane okno migąło światło lampy, i na przeciwległej ścianie suwał się cień człowieka, który nieustannie przechodził wewnątrz komnaty.

W bramę wjechał jakiś człowiek w czarnej oponczy, uwiązał konia u słupa, i wprost poszedł do drzwi przysionka. Po chwili, nie wiem czy światło zagasło, czy też oddalono się gdzieindziej, bo po małej chwili znowu wyjrzało przez kratę.

Z środkowych drzwi wyszedł człowiek takż czarno odziany, i szedł pod murem, odwracając twarz od deszczu, i znowu zniknął w zakręcie korytarza.

W komnacie był dorodnej postawy młodzieniec w stroju czarnym i długim, który tem wyraźniej rysował udatny kształt postaci. Wszedł nieznajomy; młodzieniec z uszanowaniem zdjął rogatą czapkę, a uprzejmym ukłonem zaprosił gościa naprzód.— Szli po wązkich schodach coraz głębiej, i głębiej, i 70 już mi-

---

1) Początki rebelli Ukrainńskiej.—Kraków R. P. 1653.

nęli stopni, zanim ukazał się wążki a długi przysionek, i w dali ogromne drzwi żelazne.

Człowiek z lampą zakołatał trzy razy.... i weszli.

Obszerne podziemie, oświetlone mnóstwem świateł, ukazało się oczom przychodniów.... Na środku stał długi stół czarnem suknem okryty, przy nim siedziało kilka osób różnego wieku, przewracając pergaminowe karty. Na stole leżała wielka księga (1), a na niej trupia głowa.

Przybycie nowych widzów ani na chwilę nie przerwało uwagi zgromadzenia, a gdy nieznajomi przybliżyli się do stołu, i młodzian ręką dał jakiś znak umówiony, przewodniczący wskazał im miejsce.... siedli.... i znowu wszystko ucichło.

Długo jeszcze panowało milczenie, kiedy nieznajomy zapytał:

— Serbinowiczu! (2) pocoś mnie tu zaprosił?

Twarz starca rozplómięniła się gniewem.

— Mój panie! twoja niewczesna skwapliwość nie przerwie ważnych zatrudnień!... Słuchaj! za wiele ci ufamy, kiedy oczy twoje widzą nasze zebrania! umiej to poszanować, uczcij ważność działania.

Przybyły zamilkł, siedział spokojnie dopóki wszyscy nie wstali, i dopóki starzec nie przemówił:

---

1) Katechizm nauki aryańskiej, przez Smalciusa. Raków, roku 1605.

2) Serbinowicz, dziedzic połowy Wysokiego. (Patrz inwent. Wysokiego z r. 1663. Akta kościelne Vol. I pag. 745.)



— Obecny tu pan Radziejowski (1) przyrzeka nam swoją pomoc, a zatem moi bracia, podziękujmy mu całym kołem, on nasz brat i przyjaciel!....

Wszystkie głowy pochyliły się przed nieznanym, a ten jakoś rozchmurzył czoło, widać podobały mu się ukłony.

— Nie koniec na tem, mówił dalej Serbinowicz; ty panie Lubieniecki (2) pojedziesz do Rakowa z papierami, jakie ci przygotowuję, a ty Maksymianie będziesz posłem w interesach miłosnych; pan Radziejowski i od nas żąda wysługi... a naszym obowiązkiem jest dopełnić jego żądania. Weź ten list, jedź do Warszawy, oddaj go Moskorzewskiemu, on ci wskaże, jak masz dalej postąpić.... Działajcie zręcznie, obrotnie, pamiętając o tem, że cel naszych zamiarów złożyłem w waszem ręku.

Młodzieniec co przyszedł z nieznanym, schyleniem głowy dał zaspokajającą odpowiedź, i odebrał podany papier. Był on zajmującej postaci, twarz piękna, ożywiona ogniem męskiej duszy, który wiskrzającym a pełnym powagi spojrzeniu, hartowne wrył pię-

---

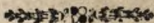
1) Hieronim Radziejowski, Podkanclerzy Korony, człowiek zmienny, burzliwy, chytry i podstępny; on to naprowadził na Polskę Szwedów, i wielu ówczesnych niezgód stał się przyczyną.

2) Lubieniecki Stanisław z Lubieńca. Urodził się w Rakowie, był Pastorem Zborów w różnych miejscach Województwa Lubelskiego. Ojciec jego Mikołaj posiadał drugą połowę Wysockiego. (Vitte Diar. Biogr. Niesiecki T. III fol. 162 i Akta kościoła Wysockiego.)




tno. Jakaś smętność bladym półcieniem obwleka wysokie jego czoło.... Czy młodzieńcze serce zardzewiało już niedola.... Czy piękne uczucia nie znajdowały żywiołu w brudnych zamiarach współbraci, czy wczesne poznanie świata wywołało już tęsknotę.... nie wiadomo, to tylko pewna, że wzniosła wyobraźnia młodzieńca biegła w zawód z szlachetnym charakterem dojrzałego człowieka.

Sprzątnięto papiery, i tajemnicze zgromadzenie opuściło wnętrze podziemia. Wkrótce udano się na spoczynek; pogasły światła i wszędzie było cicho; tylko wicher tłukł w starą bramę i jękliwym poświstem żalobne budził echa.



## II.

 pałacu Kazanowskich w Warszawie, który rozsiadł się szeroko nad Wisłą, i napuszony potęgą woich panów, wznosił wysoko cztery wieżycy i rozciągnął długie krużganki, zawarto bramy, bo w stołowej sali wielki zegar dawno już godzinę północną uderzył.

Noc była piękna, niebo czyste, tylko jaśniejsze pasy, jakby ścieszki przez aniołów wydeptane, przewiażywały tło sklepienia zasianego gwiazdami. W pałacu światła pogasły, tylko z sypialnej komnaty pani Kazanowskiej, wdowy po Adamie Kazanowskim, Kanclerzu Wielkim Koronnym, migało zielonawe światło kolorowej lampy, która noc całą gorzała przy łożu młodej i pięknej wdówki.

Głucho było w podwórzach pałacowych, z ulic także mało kiedy doleciał gwar miejski, bo grube mury otaczały tę pyszną budowę, oddzielając ją od skromnych dworców miejskich, aby one nie śmiały się bratać z możnych panów siedliskiem.

Jednak w ostatniem podwórzu od strony Wisły, spoczynek nie zupełne jeszcze rozciągnął panowanie, bo pod murem chodziło dwóch ludzi, jeden niski krępy, drugi wyższego wzrostu, ale chudy, i z pochyłej jego postawy, z nierównego chodu, widać było, że trochę na lewą nogę nie domagał.

— A ja ci powiadam, mówił człowiek niższego wzrostu, że nie pożalujesz tego. Bo niech nogi połamię na równej drodze, niech się pierwszym łykiem miodu u Jakóbka zakrzuszę, jeżeli twoja kieszeń nie nadmie się porządnie.

— Ale kiedy-bò z ciebie filut Tomaszu, chcesz że-bym cię na trop wprowadził; ty zwierzyne uszczujesz a mnie się pięknie ukłonisz. Ho! ho! bratku, mnie nie uczono kaszy jeść szydłem, dalipan z ciebie frant wielki.

— A z ciebie szalbierz, weźmiesz i nic nie zrobisz, albo jeszcze i drugiemu wydasz co się dowiesz.... Ptaszku, znam ja ciebie po piórkach; ale niech cię kat weźmie dam ci zadatek.

I na wyciągniętej dłoni kulawego położył spory skórzany woreczek.

Nie wiem czy światło księżycy zajrzało przez liście



drzew, czy gwiazda w przelocie rozrzuciła swój promień, lub oczy chromego takim zabłyśły blaskiem; dość, że widok woreczka pogodził spierających się o to, który którego chciał oszukać i gdy zaszli za boczny mur pałacowych stajen i usiedli na kamiennej ławeczce, kulawy tak zaczął mówić :

— Najprzód trzeba ci wiedzieć, że do naszej pani zaleca się bardzo wielu bogatych krzesłowych panów; bo takie niezmierne skarby, przy gładkiem licu i powabnym uśmiechu, to wędka, na którą nie jeden chciałby się złapać. Co dzień też ani rozminąć się ze swatami; jednak pani każdemu jakby z urzędu powiada: Miły mi jest afekt Waszmości pana; ale mnie wdowie grzech jeszcze myśleć o ślubnym kobiercu, kiedy w pamięci stoją pogrzebne całuny. Tymczasem, jej nie całuny ale czarne oczy i pokręcane wąsiki pana Adama Kazanowskiego uwięzły w sercu. Jej się chce mieć męża młodego, bo już ze starym zmarnowała najpiękniejsze swe lata, a jemu kanclerskich dostatków, i kto wie czyby już nie przyszło do zgody, gdyby nie stała na przeszkodzie ciotka naszej pani, Wojewodzina Wołyńska, która nie da marzyć o panu Kazanowskim, i siostrzenicę swą za pół trzyma.

Do niej więc udajcie się z waszym zacnym pretendentem, a jeżeli jej się podoba, jeżeli wesprą go jakie wielkie koligacye, to ręczę, że będzie rzecz skończona, bo wasza pani kocha ją jak matkę, i pójdzie za jej wolą.

— A Królowa nie mogłaby w tem dopomódz?

— O i bardzo! Trzeba wiedzieć, że ludzie o czemś gwarzą, co Królowej podobać się nie może, czy to prawda, nie wiem i nie chce wiedzieć, bo palec między drzwi sadzać niebezpieczno; ale o tem wiem dobrze, że Królowa chce jak najprędzej wydać Kanclerzynę za mąż i samej to doradza. (1)

Niski zawiązał dwa węzélki u frendzli pasa, i zapytał:

— Jeżeli panu Kazanowskiemu tak przychylna, to trudno nam głowę łamać, ani ciotka ani Królowa w tem nie pomogą, bo z kobietami jak z upartymi dziećmi, rozkazem nic nie wskórasz.

— Ej jest jeszcze jedna rzecz bardzo ważna, dla której pan Adam nie dosięgnie rumianego jabłuszka, ale o tem pod urznięciem języka mówić nie wolno.

— No, mów tylko a obaczysz, że ci języka nikt nie urznie, wyrzekł niecierpliwie krępy jegomość, przysuwając się do swego towarzysza.

---

1) O zatargach miłosnych, do których Jan Kazimierz wpływał, żaden z dziejopisów wyraźnie nie mówi; zapewne przez cześć dla Królewskiego imienia. Że jednak byt Elżbiety obchodził Króla, że popierał rozwód z Radziejowskim, nie podpada wątpliwości. I Niemcewicz w swoich Pamiętnikach powiada: „W tym właśnie czasie Hieronim Radziejowski, Podkanclerzy Koronny, z przyczyny krwawych zatargów o żonę, do których i Jan Kazimierz podobno wpływał, oraz z wykrytych zdrad, z kraju wywołany został.“



— Ludzie gawędzą, że nieboszczyk pan napisał w testamencie taki warunek: Jeżeli żona moja, po mej śmierci pójdzie za człowieka młodego, wietrznika, któryby nie miał krzesła w Senacie, cały darowany jej mój majątek przechodzi na mego bratunka Kazimierza. Owoż taki warunek to sęk bardzo smutny, to węzeł, który tylko krzesłowy gaszek rozwiązać może, dodał dworak z miną bardzo poważną, jakby chciał mówić: widzisz jak wielką tajemnicę ci powierzyłem.

Niski zawiązał nieznacznie trzeci węzełek i odpowiedział:

— To i cóż z tego warunku? pani Kanclerzyna ma po ojcu znaczną fortunę, to obejdzie się bez majątku pierwszego męża.

— Pleciesz ni w pięć ni w dziewięć; fortuna pana Służki to dla Kanclerzyny na sześć miesięcy, jabym prędzej się obył trzydziesto-złotowym rocznym jurgiłem, jak ona majątkiem swego ojca.

Zagadnięty chciał odpowiedzieć, gdy wtem zegar uderzył pierwszą godzinę; zmienił więc zamiar, i powstając z ławki, rzekł:

— Ale to już czas wracać, bo ulice zupełnie się wyludnią. Bądź zdrów Franciszku, oszukałeś mię jak zawsze, bom się pozbył grosiwa, a nie wiele dowiedział.

— Szalbierzu, a po co te węzełki?



- To tak tylko, ze zwyczaj. Bądź zdrów.
- Bodajes kark skrecił.
- Ale dla tego napijemy się jutro miodu u Jakóbka.
- Dobrze.

Skrzypnęła mała furtka i Franciszek został sam. Obejrzał kilka razy woreczek, zważył go w rękę, uśmiechnął się do niego, i idąc mruczał pod nosem.

— Dalibóg, to dobrze służyć u młodej wdowy; jak jeszcze ze trzech gaszków tak zapłaci, kupię kamienicę na Piwnej ulicy, i pan Franciszek, mieszczanin Warszawski, zasiędzie w radnej izbie. Dobrze to ktoś powiedział: drzyj łyka kiedy się dają. (1)

.....

W parę dni po opisanem zdarzeniu, w komnacie, otoczonej do koła kolumnami, oparta na miękkim wezgłowie, złoto-listnym adamaszkim obitem, siedziała zachwycającej urody niewiasta. Obok niej pomiędzy kolumnami stały ogromne zwierciadła, unoszone przez szczero-srebrnych aniołów, trzymających w rękach drogiemi kamieniami wysadzone świeczniki. Na stołach misternej roboty stały czary kryształowe i złote; w szafach pełno było naczyń, jaśniejących od złota i kamieni, a na ścianach wybornego pęzła obrazów. (1)

---

1) Jarzemski: Opisanie Warszawy.

Wzrok jej, utkwiony w jeden z tych obrazów, wystawiający piękną Zuzannę wśród starców, który z jej rozkazu podobno został odmalowany, i na który zawsze z największem upodobaniem patrzyła—wyrażał jakąś smętność, jakiś blady odcień uczuć, zajmujących w tej chwili jej serce.

Czy pamięć kwiecistych dni wiosny, spędzonych smutnie na łonie starca, choć wśród blasku bogactw i wszystkich nabytych za nie przyjemności, czy terażniejszość, nasuwająca jej znów to, co z sercem nie było w zgodzie, wywołały tę lekką mgłę na jaśniejące czasami najcudowniejszą pogodą lica, trudno było zgadnąć, bo przeszłość i terażniejszość tej zachwycającej kobiety, którą była Elżbieta ze Służków Kazanowska, wdowa po Kanclerzu Wielkim Koronnym (1), związane były złotemi niemi marzeń, tak od rzeczywistego szczęścia dalekich.

---

1) Elżbieta, córka Aleksandra Służki, Wojewody Trockiego, i Zofii Konstancyi Zienowiczownej Wojewodzianki Brześciańskiej, pierwszych ślubów Kazanowska, Adama Kazanowskiego Kanclerza W. Koronnego, polubieńca Władysława IV, powtórnym Hieronima Radziejowskiego, Podkanclerzego Koronnego małżonka, słynna z swej nadzwyczajnej piękności. O niej to mówi Kobierzycki, opisując roztrwoniony majątek Kazanowskiego po jego zgonie:

„Wkrótce pyszne obrazy, posągi złote i srebrne naczynia wszystkie bogate domu ozdoby, rozszarpane, lub wystawione na sprzedaż. Ta piękna i ukochana małżonka, której wszystko zapisał, w powtórne z niecnym Radziejowskim wszedłszy związki, ciężkim frasunkiem przymuszone opłakała śluby. Fatalne pochodnie niezgody przyświecały łożu temu—rozdzieliło



Turkot zajeżdżającej kolasy przerwał jej dumania, pobiegła do okna, i zanim jeszcze odzwierny miał czas oznajmić przybycie pani Wojewodziny Podolskiej, Kanclerzyna była już w przysionku, i ucałowała serdecznie kochaną swą ciocię, zarzucając ją zaraz rozmaitemi pytaniami.

Gdy weszły do kolumnowej sali, i staruszka usiadłszy sobie wygodnie, odetchnęła po doznaniem utrudzeniu, nie odpowiadając na pytania Kanclerzyny, z myślą widocznie jednym przedmiotem zajęta, rzekła:

— Nie zgadujesz pewnie Elżbietko, co mię tu do ciebie tak rano sprowadza.

— A gdybym zgadła, odrzekła Kanclerzyna, patrząc w oczy cioci, i uśmiechając się do niej z niewypowiedzianym wdziękiem, czy dostanę od cioci laleczkę?

— O dostaniesz, dostaniesz moja duszko, i to jeszcze żywą i ładną.

— Kiedy tak, to nie chcę zgadywać.

— Nie chcesz, bo wiesz, że ja ci powiem; oj Elżbietko, z ciebie wielka figlarka; ale słuchaj, bo mi się myśli całkiem rozbiegną, a ja sobie tak wszystko dobrze ułożyłam. Czy znasz Podkanclerzego Radziejowskiego?

---

się małżeństwo. Elżbieta, znenawidziwszy sobie fatalne Radziejowskiego nazwisko, podpisywała się Kazanowska. Mnie-małbym łatwo, iż obrażone cienie pierwszego małżonka zesłały z piekieł Eumenidy, które karząc i żonę i Radziejowskiego, natchnęły go tym jadem, jaki później na zgubę Króla i ojczyzny wyzynał." (Kobierzycki pag. 911.)



— Nie znam.

— Był u mnie wczoraj.

— A to dobrze, może go kiedy u cioci poznam. !

— Słyszałaś przecie co o nim?

— Nic.

— Człowiek bardzo zacny, majątny i uczony, jest już Podkanclerzym, a wkrótce wyżej się wzniesie, bo zkoligacony z najpierwszemi domami.

— Cóż mię to obchodzi?

— Ciebie najwięcej. Radziejowski szalenie jest w tobie rozkochany.

— Rzecz dziwna, jak można kochać nie znając; ja w te wszystkie tak prędkie zapały nie wierzę.

— Źle robisz Elżbietko, że zbyt skwapliwie sądzisz; Radziejowski zna cię, opisał mi najdokładniej twą postać, a jest człowiekiem wielce poważnym, i nie miałby potrzeby do kłamstwa się uciekać. Zresztą jego zamiary są bardzo czyste: on pragnie twojej ręki.

— O! nie z tego nie będzie moja ciociu; raz już poszłam za mąż z rozkazu, i otoczona dostatkami, na złocie i jedwabiach, obok starca, który pił moje wdzięki, jak lekarstwo odurzające przetrawione życiem serce, opłakałam moją dolę; drugi raz jeżeli pójdę, to z własnego wyboru, to za człowieka, który mi się podoba.

— A któż powiedział, że ci się Radziejowski nie podoba?

— Przecznuwam to.

— To źle przeczuwasz, moje dziecię. Radziejowski jest młody, przystojny i pełen wielkich zalet; przedstawiono mi go z najlepszej strony, i sama przekonałam się, że w pochwałach nie nie dodano. Przytem jest jedna rzecz bardzo ważna: Podkanclerstwo daje mu miejsce w Senacie; ów więc warunek.....

— Nie wspominaj mi o nim ciociu, bo wszyscy używacie go jak stracha na dzieci, a ja gotowam się wyrzec wszystkiego, i pójść za własną wolą, odrzekła skwapliwie i z goryczą Kanclerzyna.

— Coś moja Elżbietka zaczyna się już dąsać, przemówiła powoli Wojewodzina, szukając przenikającym wzrokiem wzroku siostrzenicy; to nie dobrze, młoda jesteś kochaneczko, a zachciewa ci się własnej woli, nie wyjdiesz na niej dobrze; powiadam ci; ta własna wola odbierze ci dostatki, znaczenie, i postawi cię obok człowieka niegodnego takich ofiar. Wierz mi Elżbietko, że pan Adam nie wart tego, abyś zatruwała moje serce, serce, które cię tak kocha i tak pragnie twego szczęścia.

Kanclerzyna, zamiast odpowiedzi, przyklękła przed poważną staruszką i z czułością ucałowała jej ręce.

— Ależ ja go nie znam moja ciociu, jakże chcesz, żebym poprzestała na tem co inni o nim mówią.

— Dziecko jesteś, któż tego wymaga? Radziejowski pragnie ci się przedstawić, pozwolisz mu więc wstępu.

— Drzwi mego domu przed nikim nie są zamknięte.



te; jednak moja ciociu czegoś aż dreszcz mię przecho-  
dzi, gdy sobie wspomnę o tem.

— O czem?

— Że Radziejowski przestąpi te progi.

— Dziwactwo!

— Przeczucia.

I obie niewiasty zamilkły. Wojewodzina rozbierała słowa siostrzenicy, a Kanclerzyna myślała o panu Radziejowskim i o przeczuciach. Dłużej jeszcze przeciągnęłaby się ta rozmowa z myślami, gdyby nie dano znać, że śniadanie zastawione w stołowej izbie, i gdyby Kanclerzyna, pozbywszy się z westchnieniem ciężaru, tłoczącego jej serce, biorąc pod rękę ciotkę nie rzekła:

— Co tam jeszcze o tem myśleć! śmierć i żona od Boga przeznaczona. Jeżeli ja mam być żoną Radziejowskiego, to na nic wszystkie myśli. Chodźmy moja kochana ciociu, ranek przeszedł tak prędko, posiłek nie zaszkodzi.

Wojewodzina nie odpowiedziała, bo ten wyraz: przeczucie, głęboko utkwiał w jej sercu; odjeżdżając jednak po śniadaniu zapytała:

— Dozwalasz więc wstępu Panu Podkanclerzemu?

— Zgadza się z życzeniem cioci.

— I z własnem?

— O! nie.

— Figlarko, chcesz mię koniecznie martwić.



— No, to i z własnem, kiedy to ciocię zaspokoi.

Zaledwie kolasa Wojewodziny wytoczyła się za bramę pałacu, kiedy Kanclerzyna klasnęła w dłonie, i wchodzącemu dworzaninowi kazała przywołać Marszałka.

Niebawem wszedł stary sługa domu Kazanowskich; biały wąs spadał mu aż po bogatą spinkę, darowaną od nieboszczyka Kanclerza, z którą się nigdy nie chciał rozłączyć, i zawsze powiadał: wszystko niech sobie po mnie ludzie zabiorą, ale z tą spinką i z tą karabelą pochować mię muszą; biały słucki pas przewiązywał granatowy kontusz, z pod którego blade-żółtawy żupan wyglądał; rękę trzymał na jaszczurowej rękojęsci damascenki, a drugą poprawiał wąsa, oczekując rozkazu pięknej swej pani.

— Daleko ztąd do Kutna?

— Dwadzieścia sześć mil, miłościwa pani.

— A prędko posłaniec może wrócić z odpowiedzią?

— Gdyby się pospieszył, za dwa dni.

— Niech się więc pospieszy. Mój poczciwy panie Kurzawiński, wybierz najpilniejszego z dworzan i każ mu przygotować się do drogi, ja tymczasem napiszę list i wyprawimy go.

— A do kogo?

Kanclerzyna zarumieniła się, i dopiero po chwili odpowiedziała:

— Będzie na podpisie.

Marszałek ukłonił się i wyszedł.

.....

— Hej, niech się tu stawi zaraz Paweł Sypełko! wołał Marszałek, wyszedłszy z komnat Kanclerzyny; i wnet służba rozbiegła się w różne strony szukać Sypełki, bo wiadano bardzo dobrze, że pan Marszałek nie lubi powtarzać rozkazów.

Staął Pawełek, dziarski chłopak, Ukrainiec z rodu i postawy, a za nim przykulał Franciszek Gertrur Niemiec, piwniczny, któregośmy już poznali.

— Obcesz karego białonóżkę, weź tę lwowską kulbakę, i obroku w sakwy, bo pojedziesz.

— A dokąd?

— Do Kutna, tylko jutro o tym czasie masz już tu być z odpowiedzią, rozumiesz?

— Rozumiem.

— I będziesz?

— Aby tylko kary wystarczył.

— O niego nie turbuj się mój chłopcze i idź, uwiń się zwawo, bo JW. pani czeka.

Pawełek odszedł, a Franciszek zapytał:

— Gdzie on pojedzie?

— Do Kutna.

— Do kogo?

— Ja tak wiem jak i Waszeć; pytałem, ale JW. pani odpowiedziała: będzie na podpisie.

— Któż tam jest w Kutnie?

— Podobno ten świszczypałka pan Adam, co to mu się zachciewa Kanclerskiego chleba.

— I do niego pani pisuje?

— Ha, tak się zdaje.... przewrotne czasy Mości Dobrodzieju; dawniej kobiet pisać nie uczono, i miano racyę....

Marszałek odszedł ku stajniom dopilnować Pawełka, a Franciszek idąc ku bramie mruczał:

— Do niego, i tak pilno.... hem hem.... to nie bez ale, trzeba to o tem memu jegomości powiedzieć.

I jak zawinął poły niemieckim krojem zrobionej sukni, tak nie oparł się aż na Sto-Jańskiej ulicy, przed zamkniętą bramą dwupiętrowego domu, którą, gdy dwa razy młotkiem uderzył, zaraz mu otworzono.

W pół godziny ku Mostowej ulicy pędził dziarski Ukrajiniec, a we drzwiach domu, stojnych szeroką tablicą z nabazgranem koniskiem i chwiejącą się poważnie sosnową wiechą, stał Franciszek.

— Hej Pawełku! zawołał na przejeżdżającego mimo jeźdźca; na drogę warto gardło przepłukać.

Jeździec obejrzał się.

— A, to ty Niemczuniu, czy cię tu djabeł przygnał tak prędko.

— No, nie gawędź, gąsiorek pełny czeka.

— Kiedyż bo mi pilno.

— Dla szklanki i dziewczyny  
Nie rachuje się godziny.



Chodź niecnoto, potem jak się kopniesz, to nadążysz.

Pawełek zsiadł z konia, dał go potrzymać chłopcu wysłanemu z szynkowni, i poszedł za Franciszkiem. W drugiej izbie znaleźli niskiego jegomości, siedzącego za stołem, na którym stał półgarncowy gąsiorek i trzy szklanki.

.....

Szary zmierzch rozciągał swe fałdziste opony, gdzie nigdzie już nawet migały srebrne oczka gwiazdeczek, i księżyc zapewne wschodził, bo kopuły świątyń i czoła wznioślejszych gmachów ubrały się w wianki z jego promieni uwite. Na ulicach był ruch wielki i gwar jeszcze nie przycichł.

W dwu-piętrowym domu przy Śto-Jańskiej ulicy, brama jak zwykle była zawartą, w żadnym z okien nie było światła, jakby dom ten stał pustkami, lub nawiedzony chorobą przez ludzi był omijany; a przecież we wnętrzu jego, w izbie od podwórza, przechodziło się dwóch ludzi: jeden z pooranem marszczkami czołem, z którego czas i troski zwiały resztki włosów. Wyraz twarzy jego pośepnej, i nigdy widać nie rozjaśnionej uśmiechem, nosił piętno głębokich myśli i łatwego pojęcia, a w ruchach sztywnych i mierzonych poznać można było człowieka, który wszystko do czasu i okoliczności stosował. Drugi młodzieniec wysokiego wzrostu i kształtnej postawy. Ciemny strój jego niczem się nie odznaczał, nie w nim nie było świeżącego, nie u

derżającego barwą lub krojem. Czarne włosy podstrzyżone ze szwedzka, także wąsiki zgrabnie podkrecone, dziwnie odbijały od twarzy smętnej, bladej—a jednak pełnej godności. Pierwszy był to Moskorzewski, człowiek wielce uczony, filar naśladowców Socyna, drugi znany nam już Maksymian.

— Jedź więc mój bracie do Wysokiego, i powiedz naszym, że interes, z którym byłeś przysłany, jest na dobrej drodze. Nie piszę, bo wiesz, jak nie lubię bawić się napróżno piórem; zresztą jestem tego przekonania, że słowo przeniesione na papier niebezpieczniejsze jest od tego, które z jedną chwilą przebrzmiewa. Możesz im powiedzieć, że osnułem już wszystkie ścieżki wiodące do ręki Kanclerzyny, i prędzej czy później, pomimo wszelkich jej usiłowań, musi zezwolić na związek, chociażby on nie trafiał do jej serca. Ostrzeż jednak Lubienieckiego, że z Podkanclerzym powinien być bardzo ostrożnym, bo bodajem nie był prorokiem, ale ten człowiek niepohamowanemi namiętnościami nie zdoła kierować.

Młodzieniec wysłuchawszy uważnie słów, które stanowią odpowiedź jego posłannictwa, cicho z bojaźnią zapytał:

— Czy nie mógłbym zostać do jutra?

— Dla czego?

— Tak—życzyłbym sobie.

Moskorzewski podumał chwilę.

— Zgaduję twoje myśli — chcesz widzieć Kancelarynę.

— Tak jest.

— Nie, bracie — musisz dziś jechać — rozkazuję ci. Z ogniem nie żartuj, bo się sparzysz — pięknej kobiety nie pragnij widzieć, bo możesz spokój stracić.

Maksymian się uklonił i chciał wychodzić.

— Pamiętaj, że wiedzieć będę, czy dziś wyjedziesz.

— Niepotrzebny trud ojczy, ja znam moją powinność.

— Polegam na tem, bądź zdrow.

Młodzieniec wyszedł — dosiadł podanego mu konia, i westchnąwszy ciężko, pospieszył w stronę, gdzie Wisła toczyła mętne fale.







### III.



W jednym z cudownie pięknych gaików, otaczających Kazimierowski pałac, ulubione mieszkanie Jana Kazimierza, które on dopiero zaczął przyprowadzać do tej świetności, jaka później otoczyła te miejsca, uposażone od samej natury; w cztery tygodnie po opisanych zdarzeniach, przechadzała się kobieta, której postawa pełna powagi, obok zachwycającej choć już przekwitłej piękności, wzbudzić mogła wielkie zajęcie i podziwienie.

Nie było jeszcze tej na marmurowych kolumnach wzniesionej jadalni, ani baszt z pozłocistemi altanami, fontanny, posągów misternej roboty, ani owej zagrody dla wszelkiego rodzaju ptasząt, w której, jak w Arce No-

ego, mogłeś usłyszeć różne ich śpiewy i szczebiotania; ale były już cieniste gaiki, napełnione wonnemi kwiatami, ozdobne pokoje Króla i Królowej, w których nie jedną przykrą chwilę spędzili, jeżeli nie przyjemniej, to przynajmniej znośniej. (1)

I przechadzająca się niewiasta nie szukała tych przepychów, które później w te miejsca zniesiono, ale błędząc wązkami ulicami, połała się oddechem kwiatów, roznoszonym skrzydłami leciutkiego wietrzyku, i nie raz piękna jej ręka sięgnęła po gałązkę świeżo zakwitłej krzewiny, i nie raz głowa przywykła, aby się przed nią chylono, schylała się do rumianej wdziękiem róży, lub do skromnej w trawce ukrytej stokrotki. Niewiastą tą bowiem była Marya Ludwika z Gonzagów, żona najprzód Władysława IV, a później Jana Kazimierza, Królowa Polska.

Współczesni podziwiając jej urodę i talenta, narzekali na nieograniczony wpływ, jaki wywierała na umysłach obudwu mężów, na wtrącanie się w sprawę kraju; ale któraż to czująca potęgę swych przymiotów niewiasta, wyniesiona na najwyższy szczebel godności, nie zapragnęła udziału wczynach jej wiek odznaczających? nie zamarzyła o rozleglejszym dla swych chęci zakresie? I Marya Ludwika, wychowana nad brzegami Se-

---

1) Jarzemskiego: Opis Warszawy.



kwany, zostawiwszy tam swe uczucia, przyniosła do Polski jedno silne postanowienie: tu chcę panować!.....

Gorycz zatrzała nie jedną chwilę jej życia, troski poprzedziły czyny, a jednak to postanowienie nie przygaślo w jej sercu, nie osłabiły go przeciwności! bo Marya Ludwiką była z rzędu tych rzadkich niewiast, u których umysł rządzi sercem.

Przeszedłszy cały gaik, Królowa weszła do altany ocienionej do koła bluszczem, i zaledwie usiadła na darniowej ławeczce, ominąwszy bogate krzesło dla niej przygotowane, gdy dworzanin będący na służbie oznajmił przybycie Podkanclerzego Radziejowskiego.

— Prosić go, odrzekła Królowa i przesiadła się z ławeczki na owe wielkie aksamitem wybite krzesło.

Po chwili wszedł do altany Margrabia de Carilaque, Francuz, ulubieniec dworu, bożyszcze mody, a za nim Radziejowski. Obadwa byli z cudzoziemska ubrani; strój Margrabi odznaczał się wytwornością, Podkanclerzego bogactwem. Czarny aksamitny frak jego był tak gęsto złotem galonami naszyty, że zaledwo kolor i materję rozeznąć można było, a dwa rzędy guzików błyszczwały drogiemi kamieniami. Na jedwabnych białych pończochach miał zamszowe trzewiki, spięte na złote sprzączki świecące brylantami. U trójgraniastego kapelusza, który niósł pod pachą, aby nie uszkodzić wysoko ufryzowanej i upudrowanej czupryny, błyszczwała wielkiej wartości spinka i pióro brylantowe. Margra-

bia powitał Królowę z lekkością sobie właściwą, Radziejowski z wyrazem najgłębszego uszanowania.

— Cóż was tu sprowadza? moi panowie, zagadnęła Królowa, niby nie wiedząc celu ich przybycia; a szczególnie was, panie Podkanclerzy, którego tak rzadko widzujemy u dworu?

— Przyszliśmy tu błagać W. Kr. M. o wyrok śmierci lub życia, odpowiedział Francuz.

— Mnie? żartujesz zapewne Margrabio.

— Bynajmniej; mój przyjaciel, pan Radziejowski, skazany na wszystkie męczarnie, jakie okrutna bogini miłości zadawać umie, czeka z ust W. Kr. M. albo uzdrawiającego balsamu, albo nowej rany, która go do bije.

— Jeżeli to tylko o taki wyrok chodzi, to Królowa Polska będzie mogła może go wydać bez obrazy prześwietnych stanów, odrzekła Marya Ludwika z ironicznym uśmiechem, nie spuszczać wzroku z Radziejowskiego.

— O! wydaj go Najjaśniejsza Pani! zawołał Podkanclerzy, a życie i szczęście moje będę ci miał do zawdzięczenia!

— Chwilkę cierpliwości, panie Podkanclerzy: nim Sędzia wyda wyrok, musi wprzód obie strony wysłuchać, nieprawdaz?

— Bezwątpienia.

— Poczekaj więc, niech-no jeszcze Kanclerzyna



nam odpowie. Serca kobiet nie są tak łatwe do pokonania.

— Ale same pokonywać umią, bo czasem i pięciu marsów zwyciężą, odrzekł Francuz gryząc usta, aby pokryć podwójne znaczenie swych wyrazów.

Królowa rzuciła przelotnem spojrzeniem na twarz Margrabiego, nie podobała się jej przymówka, i gdyby ją był kto inny wyrzekł, odpłaciłaby pewnie niełaską. A może i Francuzowi dostałoby się co, gdyby znów ten sam dworzanin nie oznajmił przybycia pani Kanclerzyny Kazanowskiej.

— Powiedzieć, że na nią czekam, odrzekła Królowa; a obracając się do Radziejowskiego, dodała: Wyjdźcie panowie w gaik, przyjdziecie, gdy klasnę dwa razy.

— Ach N. Pani, zlituj się, nie każ nam długo czekać, bo ja jestem zbyt czułego serca, i nie mogę znieść westchnień Podkanclerzego.

— To mu Margrabio pomóż wzdychać.

— O gdyby te westchnienia zapewniły mi rączkę Kanclerzyny, wzdychałbym całe życie; ale tak, dla towarzystwa, to jakoś się nie chce.

— Wychodźcie panowie, bo Kanclerzyna nadchodzi, a nie chciałabym, żeby was tu zastała.

Radziejowski ujął rękę Francuza i wyszli spiesznie z altany.

W kilka chwil po ich oddaleniu weszła Kanclerzyna cała w żalobie, i z żalobą na twarzy. Pełne ognia oczy



zaszły mgłą smutku, rumieniec ustąpił z lica, uśmiech odleciał z koralowych usteczek, a jednak była piękną, piękniejszą może, aniżeli w chwilach zadowolenia.

Królowa wyszła na jej spotkanie, i witając ją ze szczególną uprzejmością, posadziła obok siebie.

— Czas już Kanclerzyno zrzucić te czarną odzież, przemówiła Marya Ludwika, zwracając na twarz pani Kazanowskiej spojrzenie, którem tak dzielnie umiała władać; tyś stworzona do rozsiewania wokoło nadziei i szczęścia, a okrywasz się barwą żałoby, jakbyś była jej posłanniczką.

— N. Pani, komuż przystoi bardziej żałoba, jeżeli nie tej, której przeszłość była tak smutna, a przyszłość znowu się chmurzy.

— Wiele bo wymagasz Kanclerzyno, nie pomnąc na to, że nie jedna równie może urodziwa i równie czuć umiejąca niewiasta podzielała swą młodość, swoją wiosnę, z ocieżałą jesienią, a może i ze zgrzybiałą zimą. Nasz los związany jest często koniecznością, do której nie raz bolejące serce zgiąć trzeba. I czyż to nazywać już nieszczęściem, płakać i oczy wypłakać, a nic sobie nie pomódz? o nie Kanclerzyno, zadowolenie jest w naszym ręku, nie porzucajmy się niem. Mówisz o przyszłości i spostrzegasz już nad nią chmury, zaiste, komuż ona świetniej przyświecać może! młoda niewiasta, zachwycającej urody, otoczona bogactwy, znaczeniem, przed którą codziennie tłumy wielbicieli uderzają kolanem,

spostrzega na swej przyszłości chmury; o, to urojenie lub bluźnierstwo!

— N. Pani, nie sądź mię tak ostro; powiedziałaś przed chwilą, że do konieczności nie raz bolejące serce giąć trzeba; zważ więc, czy tam, gdzie serce boleje, można o chmurach nie myśleć.

— Kiedyż bo to te boleści serc młodych, to jak ślady wstepach, zaledwo je urojenia zostawiają, aliści je ranna rosa pozaciera. Wiesz zapewne Kanclerzyno, że nie bez żalu porzuciłam moje rodzinne strony; w pierwszych chwilach zdawało mi się, że rozstałam się na zawsze ze szczęściem, a jednak później jakoś to wszystko przeszło.

— Bo znalazłaś N. Pani ziszczone swoje nadzieje, a dla mnie nic już nie pozostanie do życzenia, jeżeli zadowolenie serca mnie ominie.

Królowa, jakby nie zważając na te słowa, z wielką czułością i prawie ze łzami wyrzeczone, mówiła dalej:

— Nie uwierzysz Kanclerzyno, jak te dziecinne marzenia szybko przemijają, jeżeli jeszcze znajdziemy z drugiej strony szczerę przywiązaną bez szafu, godność bez przymusu, natenczas wszystkie te wmówione cierpienia nikną bezpowrotnie, i zmieniają się w słodszą bo mniej spodziewaną przyjemność. Słuchaj mię; jam nie zbyt wiele lat ale wiele gorzkich zawodów przeżyła, te zaś najmniej pozostawiły śladów, które za najboleśniej-sze uważałam. Jeżeli więc te wszystkie chmury, które

w swej przeszłości spostrzegasz, stosujesz do związków, o których tak głośno mówią, zawiedziesz się Kanclerzyno, rozwieje je wiatr przekonania, i ukaże ci piękną pogodę. Ja znam Podkanclerzego, znam ciebie, piękna w ciele i duszy niewiasto, oceniam twoje imię, pragnę twego szczęścia, i nie jak Królowa ale jak przyjaciółka radzę ci otwartem sercem: nie odrzucaj szczerzej miłości Podkanclerzego, pójdź za głosem ciotki, za głosem wszystkich, i oddaj twą rękę człowiekowi, który jej godzien, który jej pragnie więcej jak wszystkiego na świecie!

I wslad za pełnemi przekonywującej mocy słowami, Królowa podniosła się i wyciągnęła ręce, jakby chciała udzielić błogosławieństwo. Kanclerzyna przyklękała łkając od płaczu.

— Więc przyrzekasz?

— Przyrzekam!

— O niech cię tak Bóg błogosławi, jak ja tego pragnę! wyrzekła uroczyście Marya Ludwika, przysuwając usta do schylonej głowy Kanclerzyny, i dwukrotne kląsnięcie w dłonie dało się słyszeć.

W jednej chwili Radziejowski i Margrabia stanęli przed Królową, i klęczącą u jej nóg Kanclerzyną.

Kanclerzyna, przestraszona tem niespodziewanem zjawieniem się dwóch mężczyzn, zaledwie miała czas powstać, gdy Radziejowski przyklęknąwszy na jedno kolano, zawołał:



— Elżbieto! życie moje w twojem ręku, jednym słowem ocalisz mnie lub zgubisz, a nie gub człowieka, który cię aż do szaleństwa uwielbia!

— Panie Radziejowski, nie błagajale dziękuj, szczęście twoje zupełne, Kanclerzyna przyrzekła oddać ci rękę.

— Rękę! rękę!.. wymówiła półgłosem Kazanowska, nie mogąc utulić łkania.

Radziejowski, jakby nie zważając tych znaczących wyrazów, zawołał:

— Więc mię szczęście moje nie zwodzi, przyrzekłaś Kanclerzyno?

— Przyrzekłam oddać wam rękę.

— O! dzięki ci, nieporównana niewiasto, dzięki i wam Królowo; w tej błogiej chwili nie mogę znaleźć słów, któremi mógłbym wam podziękować, chcę całym życiem mojem okazać prawdziwą wdzięczność.

— A ja chcę wychulać się na twem weselu, panie Podkanclerzy, i wpraszam się w afekt twej pięknej narzeczonej, aby mię do pierwszego drabanta wybrać raczyła, w nagrodę męztwa, zjakiem znosiłem twoje wzdychania, przemówił Margrabia, kłaniając się zgrabnie Kanclerzynie. Pani Kazanowska niechętnie spojrzała na cudzoziemca, który w tak przykrej dla niej chwili z lekkością, tylko Nadsekwąncem właściwą, wspomniął o weselu, jakby na urągowisko jej boleści, a Królowa rzekła:

— Słusznie domagasz się tej nagrody Margrabio, bo będzie ona nagrodą zawiedzionych nadziei.

Francuz chciał odpowiedzieć, gdy oznajmienie przybycia Wojewody Wileńskiego przerwało prowadzenie dalszej rozmowy, i Królowa przybliżając się do Kanclerzyny rzekła:

— Dziękuję ci Kanclerzyno, żeś mi zaufała, i bądź pewną, że się nie zawiedziesz; Królowa Polska, jakkolwiek słabą jest istotą, potrafi jednak być życzliwą dla życzliwych. Żegnam cię i ciebie panie Podkanclerzy, pragnienia twoje spełnione, starajże się być godnym tego szczęścia, jakie odbierasz. A z tobą Margrabio mam rachunek, będzie cokolwiek trudny, i nie wiem czy się z niego wykręcisz.

I pełnym majestatycznej powagi ukłonem pożegnała obecnych, udając się ku środkowej części gmachu, gdzie w posłuchalnej sali czekał Wojewoda Wileński.

Radziejowski podał rękę Kanclerzynie, przyjęła ją i wyszli na dziedziniec pałacowy. Żadne słowo nie wyszło z ust jej, drgających jeszcze łkaniem; wsiadła do czekającej kolasy, i kazała pospieszyć, aby czempredzej odetchnąć swobodniej i ulżyć sercu wylaniem nie tłumionej boleści.

Radziejowski długo patrzył za odjeżdżającą, i na czoło jego, nie dawno tak pogodnem, osiadły chmury niezadowolenia, poznał bowiem, że intrygami można pojąć rękę, ale nie serce kobiety.

.....

W obszernej izbie dworu Radziejowskich, który nie-  
zbyt wzniosłe ale długie swe skrzydła rozciągnął na-  
przeciw Kazimierowskiego pałacu, ozdobiony w prze-  
pyszne obrazy Królów-Hetmanów i innych świeckich i  
duchownych senatorów, wysłanej miękkimi kobier-  
cami, przechadzał się człowiek przeszło 36-letni, w  
stroju pół polskim i pół cudzoziemskim. Zegar na  
wielkiej swej tarczy, uzbrojonej szczerozłotym anio-  
łem, który każdą godzinę z wygiętej trąbki otrębywał,  
oznajmiał godzinę pierwszą po północy, cztery wosko-  
we świece dogorywały, cichość była zupełna, nie prze-  
rywał jej nawet szelest kroków ginących w kobiercach,  
a przechadzający się nie myślał o spoczynku. W roz-  
ognionej jego twarzy, w błyskawicach niespokojnego  
wzroku czytać można było namiętności nurtujące ser-  
ce, i niedające pomyśleć o spoczynku.

Ona mi oddaje rękę!.... mówił sam do siebie w chwi-  
lach gwałtowniejszego natłoku myśli; rękę!.... a ja tak  
pragnę jej serca, ja za nie zaprzedałbym się piekłu;  
ale jeżeli sądzi, że zezwolę na podział, zawiedzie się,  
pograży się w otchłań goryczy, mnie i siebie zgubi.  
Dla mnie nie ma podziału, jam szatan, ja piekło noszę  
w łonie i piekłem piekło zapłacę.

I znów po takim wybuchu wrzących namiętności  
przechadzał się Podkanclerzy (gdyż to on był), wzdłuż



i w szerz izby, aż rumieniejący się w oknach poranek zawiódł go do sypialni, i rzucił na miękko z cudzoziem-ska wysłane łoże.

.....

W licznych kościołach Warszawy odzywały się dzwo-ny, zwołujące lud wierny w swoje świętem namaszcze-niem tchnące objęcia, bo był to dzień 15 sierpnia, po-święcony uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Pan-ny Maryi. Zewsząd też i wszędzie sunęły ulicami liczne tłumy, ustępując tylko miejsca odkrytym kolebkom i kolasom pańskim, wiozącym Wojewodów, Kasztelanów, Podskarbich, Starostów, i innych świeckiego i ducho-wnego stanu luminarzy w progi świątyn pańskich, na wspólną dla wszystkich ucztę, modlitwy i słowa Bożego!

Błogi to każdy dzień, tej wspólnej modlitwy do Bo-ga! tych prośb, przez tyle ust do tronu przedwiecznego przesłanych, modlitwy, którą ubogi dziękuje Ojcu nie-bieskiemu za chleb powszedni, a bogaty za obsypujące go dostatki, i obadwa te podziękowania łączą się razem, i płyną w niebiosa, aby je Dawca wszystkiego odebrał i ocenił.

Przed małym parafialnym kościołkiem, na którego miejscu stanęły wzniosłe gmachy Śto-Krzyskiego ko-ścioła, i który w kilka lat później oddany został spro-wadzonym z Francyi Misyjonarzom: stało dwóch ludzi, jeden młody i nadzwyczaj ujmującej postaci, drugi, jak

z czerwonego krzyża wyszytego na piersiach długiej czarnej sukni wnosić można było, sługa kościelny.

— Ale mój ojczec, czy wiecie pewno, że pani Kazanowska tu się zawsze modli?

— O dobrodzieju, to tak pewno, jak dziś mamy święto Najświętszej Panny. Ona nigdy naszego kościoła nie opuści, a znamy ją dobrze, bo to miłosierna pani na biednych; od niej nie odejdzie z próżnemi rękami żaden chudziaczek, i dla tegoć to Pan Bóg jej szczęści; słyszałem, że idzie za jakiegoś wielkiego pana, co to jego dworzec w podle kościoła naszego stoi; daj jej Boże wszystko dobre!

Młodzieniec westchnął, a starzec dalej mówił:

— Przedwczoraj przyniesiono od niej złocisty ornat z listem do księdza proboszcza, aby przez trzy dni na jej intencję odprawiał mszę św. przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego. Musi mieć jakieś smutki, niech je Bóg przemieni w wesele, bo to bardzo zacna pani. Ale oto jej kolasa zajeżdża, patrzcie! patrzcie!..

Gdy starzec domawiał tych słów, przed przysionek kościelny zajechała kolasa, otoczona liczną czeredą dworzan, i służbowy w francuzkim stroju, i z francuzka już kamerdynerem nazwany, otworzywszy drzwiczki pomógł wysiąść pięknej jak zwykle, ale bledszej jak zwykle Kancelerzynie.

Podczas, gdy drugi dworzanin podawał jej czarną



w srebrnej oprawie książkę, wzrok jej zbiegł się ze spojrzeniem stojącego obok młodzieńca.

Na bladej jego twarzy zabłyśnię przelotny rumieniec, w oczach zaświecił promień zadowolenia.

I Kanclerzyna uderzona piękną i pełną godności jego postawą, nie mogła oderwać wzroku, w którym czytać można było wiele zapytań, jakie w tej chwili zadawało jej serce. Wchodząc w przysionek kościoła, raz jeszcze zwróciła spojrzenie w stronę, gdzie stał młodzieniec, i znów to spojrzenie zbiegło się w drodze z oczyma, które za nią pobiegły.

Młodzieniec pomyślał chwilę i udał się za nią. Wchodząc do kościoła nie położył krzyża św. na czole, nie umaczał palców w święconej wodzie, a jednak za ledwie próg przestąpił, niepojęte jakieś wrażenie owładnęło jego sercem. Kapłan przed ołtarzem Matki Bożej odprawiał mszę św. i właśnie wówczas zanucił czystym głosem ów wzniosły hymn ofiary, tak przemawiający do duszy i przenikający serce. Cudowna jego siła, widok tylu głów pochylonych, tylu ust zanoszących modły do Matki Najświętszej, wywarły dziwne wrażenie na umyśle młodzieńca, i sam nie wiedział jak zgięły się jego kolana, aby wraz z innymi oddać cześć miejscu i jego ofierze. Widać, że dawne pamiątki tłumnie pojawiły się w jego duszy, bo zajęty myślami nie uważał, że wychodzą z kościoła, i za ledwie spojrzenie Kanclerzyny ocuciło go z głębokiego dumania. Powstał, przegnął się,



wychodząc raz jeszcze pochylił głowę, i już nawet podniósł rękę do kropielnicy, gdy we drzwiach przysionka spostrzegł małego krępego człowieka, który z wielką uwagą przypatrywał się jego ruchom; cofnął więc rękę i wyszedł.

Kanclerzyna tylko co wsiadła do kolasy, ale nie dała jeszcze znaku do odjazdu; piękne jej oczy szukały młodzieńca, który zwrócił jej uwagę, aby obdarzyć go pożegnalnem spojrzeniem.

W kilka chwil nie było już i kolasy Kanclerzyny i młodzieńca, tylko do kościoła gromadziły się tłumy pobożnych, i wychodziły z niego z weselszem sercem i z lepszą myślą liczne wiernych gromadki.

.....

Jesień zdmuchnęła z drzew liście, skróciła dnie, i ponure swe czoło ubrała chmurami. Warszawa jednak nie smuciła się: tłumy ludu biegły przed pałac Kazanowskich, aby przypatrzeć się okazałościom weselnych godów, policzyć tysiące świateł, setki wymyślonych zabaw, i powiedzieć, jakby na urągowisko prawdzie: ach, jaka Kanclerzyna szczęśliwa!...





## IV.

**N**ieszczęsne czasy nadeszły, wiszące oddawna chmury wylały straszną powódź klęsk, które spożyły resztki dawnej świetności. Rok 1649 zaczął się grobową ciszą, przepowiednią tych burz ryczących do koła, na które obojętność i zaślepienie nie zwracały uwagi.

Bogdan uzbrajał Ukrainę; wysłani od Króla posłowie przywieźli straszne pogrozki i smutne wieści. Krew broczyła ukraińskie niwy, Kijów zdrzął przed Nicizajem, obronne mury zamków nie zdołały obronić tych, którzy im zbyt mocno zaufali.

Klęska pod Żółtymi Wodami zadana rozniosła powszechną trwogę. Nieliczne wojska, choć pod dowódz-



twem najślawniejszych mężów, nie mogły oprzeć się przeważającej sile, cofnęły się pod Zbaraż i ubezpieczyły okopem. Bogdan w 180,000 czerni dokoła je otoczył; położenie obleżonych z każdym dniem było przykrejsze, żywności zaczynało brakować, choroby zabierały codziennie po kilkadziesiąt ludzi, zguba była widoczną; gdy Jan Kazimierz, zebrawszy zaledwie 20,000 wojska, opuszcza Warszawę i spieszy na odsiecz obleżonym.

.....

W Wysokiem, przed opisanym zamkiem, stała wyniosła baszta, jakby strażnica okolicznej przestrzeni. Z niej w czasach napadu Tatarów zamknięci w zamku uważali obroty zbliżających się hord, układając stosowne plany obrony. Na krużganku, otaczającym wierzch tej baszty, chodził człowiek w czarnem odzieniu, i z wielką uwagą patrzył na drogę od Lublina idącą.

W jednej z dolnych izb zamku siedział stary jego właściciel Serbinowicz, pogrążony w myślach, przerywanych tylko szelestem przewracanych kart w wielkiej księdze, na których nakreślone były różne tajemnicze figury; gdy wszedł jedyny jego powiernik i najserdeczniejszy przyjaciel, Andrzej z Szumki.

— No i cóż Andrzej?

— Radziejowski przybył przebrany za mnicha.

— A wojska królewskie?

— Z Lublina wyszły kilkoma drogami; jedna najgłówniejsza część, przy której jest sam Król, stanie tu zapewne jutro rano.

— A wysłałeś do Kijowa?

— Zaraz.

— I cóżeś doniósł?

— Wszystko coście mi polecili.

— Wypadałoby zawiadomić Wojewodę i sąsiadów, że Król będzie w Wysokiem.

— Uczynię to.

— Dobrze, poproś Radziejowskiego.

Po chwili na korytarzach dały się słyszeć tłumione kroki, i wszedł Podkanclerzy. Błada twarz jego nosiła wyraz okropnej wewnętrznej walki, podsycanej ogniem strasznych namiętności.

Serbinowicz zamknął księgę, i oparł na niej złożone w krzyż ręce. Radziejowski odrzucił kaptur, jakby nie mógł znieść jego ciężaru, i usiadł w poręczowym na przeciw okna stojącym stołku.

Kilka chwil panowało głucho milczenie, aż wreszcie Podkanclerzy zapytał:

— Przybyłem na wasze tajemnicze wezwanie; cóż mi macie do powiedzenia?

— Bardzo wiele.

— Chciałbym wiedzieć.

— Zbyteczny pospiech, wszystko przyjdzie z kolei,

czas przeżuwa wypadki, aby one nie zaszkodziły biesiadnikom; źle kto skwapliwością uprzedzi jego troskliwość.

— Po co ta mowa, znasz mię Serbinowiczu? wiesz, że czekać nie lubię.

— A jeżeli czekać potrzeba?

— Gniewasz mię.

— Trudno, gniew jest to ów natrętnik, który nie wołany przychodzi.

— Więc jakież cel tego przebrania? tego tak oczekiwanego przybycia?

— Wkrótce Podkanclerzy się dowiesz.

— Dla czegoż nie zaraz?

— Powiedziałem, że jeszcze nie przyszedł czas, a zresztą nie mam się do kogo spieszyć; w Radziejowicach puste kąty, czarno-brewa w obcych domach szuka schronienia.

— Czy wiesz, gdzie ona się znajduje?

— Tak jakbym wiedział.

— Mów!!!

— Cierpliwości, wszystko przyjdzie z kolei.

— Starcze, do szaleństwa mię przywodziś, a gniew takiego człowieka jak Radziejowski nie zbyt bezpieczny.

— W moim domu?!

— Choćby w piekle.

— W piekle pozwalam. Ale tu ja jestem lucyferem. W reszcie, cóżby to pomogło? pani Podkanclerzyna ma



bardzo silną opiekę, aby gniew pana Podkanclerzego mógł ją osiągnąć.

— Co ty bredzisz starcze?! ty mię nie znasz, kiedy tak mówisz; powiadam ci, że w zemście nie ma silniejszego odemnie człowieka.

— A jeżeli jest silniejszy w siłach?

— To się spróbujemy.

— Nie równa walka.

— Równość walki zależy od walczących.

— I od tych, którzy są widzami ich zapasów.

— Jakto?

— Pomyśl panie Podkanclerzy, a nie będziesz miał potrzeby pytać.

— Ty chcesz mówić, że od was wiele zależy?

— Być może.

— Cóż więc chcesz?.. złota?

— Mamy go dosyć.

— Przemówienia na sejmie?

— Obejdziemy się bez tej łaski.

— A więc czegoż?

— Posłuszeństwa!

— Z czyjej strony?

— Z twojej, panie Podkanclerzy.

— Szalony człowieku! Radziejowski ma ci przysięgać posłuszeństwo?

— Jak mu się podoba.

— A jeżeli go odmówi?

- To sobie, a nie nam zaszkodzi.
- Szatanie! czemu nie mówisz wyraźniej?
- Ja tak wyraźnie mówię, że ten tylko kto nie chce to nie zrozumie.
- Jakże użycie tego posłuszeństwa?
- Jak nam będzie potrzeba.
- Na czyją korzyść?
- Na twoją, panie Podkanclerzy.
- Radziejowski wstał i przeszedł się kilka razy po izbie; ręce mu drżały i w oczach błyszczały płomienie.
- Więc wiesz, gdzie się ona znajduje?
- Tak jakbym wiedział.
- I zechcesz być moim sprzymierzeńcem?
- Pod warunkiem nieograniczonego posłuszeństwa.
- Na długo?
- Trzy, cztery dni.
- A nie nadużyjesz go?
- Z mojej strony żadnych przyrzeczeń.
- Szatanie! potworo! zgoda!...
- I Podkanclerzy uderzył ręką w stół, aż okna się zatrzęsły.
- Czy pewno?
- Cóż to, nie wierzysz Radziejowskiemu?
- Być może.
- Jeżeli zechcesz, to ci napiszę cyrograf, ale krwią twoją.
- Swoją, panie Podkanclerzy, to łatwiej, moja krew

nie na twoje rozkazy. Mów więc krótko, czy przystajesz na podany warunek?

— Przystaję.

— Wypełnij więc pierwszy dowód posłuszeństwa, idź do przygotowanej dla ciebie izby w narożnej baszcie, i nie otwieraj drzwi temu, który ci nie powtórzy hasła: »cierpliwość«!

Podkanclerzy nie odpowiedziałwszy ani słowa, przywdział szary kaptur i poszedł za Serbinowiczem, który poprowadził go ku baszcie.

.....

Wracając, spotkał się z Andrzejem.

— Czy nie wrócił jeszcze Maksymian ze Skierbieszowa?

— Nie jeszcze.

— Zbyt długo bawi, a odpowiedź pana Boguśała Służki bardzo nam jest potrzebna. Lew siedzi w klatce, posłuszny jak baranek; hasło: »cierpliwość«, pamiętaj Andrzeju.

— Dobrze.

I rozeszli się, każdy w inną stronę.

.....

Słońce dawno zeszło, ale otulone chmurami, sennem patrzyło okiem, mgła wisiała nad powierzchnią, kłęby



szarych wyziewów to opadały, to się wznosiły do góry, tłumiąc promienie bladawego słońca. Z pól otaczających Wysokie rozlegały się piosnki żniwiarzy, wesole tony piszczałek, na których pastuszki przygrywali licznym trzodkom, wypędzanym na paszę; skrzyp kótek wiozących pługi, brzęk koss ostrzonych osełkami, bo choć to jeszcze rano, ale praca nie da zasypiać, i najleniwszego nawet obudzi. Serbinowicz wyszedł na basztę, coś przykazał strażnikowi, popatrzył w stronę Lubelskiego gościńca i zeszedł, dawać rozkazy służbie oczyszczającej izby, sprzęty, obicia, i przygotowującej zapasy do biesiady.

Tymczasem mgła rozsuwała fałdy szarego odzienia, słońce śmielej poglądało ku ziemi, a starzy ludzie zaczęli się cieszyć, bo mgła nie poszła w górę, ale zamieniając się w kroplistą rosę, osiadała na ziemi, co wróżyło pogodę.

Na Lubelskim gościńcu ukazała się ciemniejsza od mgły kurzawa, i dobiegł głuchy tentent stękającej pod ciężarem kopyt końskich ziemi.

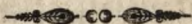
Strażnik z baszty dał umówione znaki, i wszyscy w jednej chwili stanęli u bram zamku, aby powitać Króla, który uniesiony zapałem, postanowił sam dowodzić wyprawą, mającą rozstrzygnąć losy obleźców Zbarażskich i ukrócić dumę Bogdanka. Na usilne przedstawienia Regimentarzy, wysławszy część wojsk przez Kraśnystaw, sam z licznym oddziałem obrał krótszą drogę

na Wysokie, i przyrzekł strudzonemu szybkim pochodem wojsku dać choć jednodzienny wypoczynek.

Niezadługo królewski orszak zbliżył się ku zamkowi. Jan Kazimierz jechał na białym koniu, przybranym w bogate wojenne rynsztunki; na twarzy jego nie gościły jeszcze te ślady cierpień, które później ciągłemi przeciwnościami zachwiały wrodzoną dzielność. Wówczas potomek Jagiellonów, jeszcze w całym jej blasku, witał witające go dziatki, męstwo przebijało się w spojrzaniu, nadzieja w pogodnym i pełnym powagi obliczu. Nie był to jeszcze ten Jan Kazimierz, co drżącą od wzruszenia ręką oddawał przyciskającą go swoim ciężarem koronę, ten wieszcz niepojęty, co załawionym głosem odślaniał smutną przyszłość; ale Król w całej potędze, syn Wazów, prawnuk Jagiellonów, snujący najzabawienniejsze zamiary, najpiękniejsze nadzieje. Koło Króla jechali: Jerzy Ossoliński, Krzysztof Pac, Paweł Sapieha Regimentarze, Sieniawski, Książęta Zbarańscy, Mniszhowie, Połubińscy, i wielu innych dzielnych mężów, a za nimi ciągnęły się bardzo długie liczne pancernych i lekkiej jazdy chorągwie.

Król zsiadł z konia i zapytał o właściciela zamku; wystąpił Serbinowicz, niosący na srebrnej misie chleb i sól, godła gościnności; przyklęknął, podał je Królowi, a ręce mu drżały, i słowa nie chciały wyjść z piersi. Jan Kazimierz przemówił do niego bardzo uprzejmie, zkosztował chleba, i zapytał, gdzie mu przemasz kwatere.

Serbinowicz odpowiedział, że chce być przewodnikiem.  
Król raz jeszcze miłym skinieniem powitał obecnych, i  
udał się w górę ku zamkowi.





## V.

**Z**aledwie Król rozgościł się w zamku, już drogi podwórza i place napełniły się mnóstwem kolas, jezdnych i pieszych tłumów, a wszystko strojne jak w uroczyste święto, a na każdego twarzy radość, odbicie pocziwego serca!

Dzień zszedł nie wiedzieć kiedy, i nie obejrzano się jeszcze po nim, a tu już i wieczór zawitał. Wieczór, wieczór, każdy go oczekiwał, bo Król Jegomość obiecał zejść do gościnnej sali, i podzielić uciechy ze szczerze miłującym go ludem. Zaledwie też zaczęło się zmierzchać, salę napełnili liczni goście; niebawem zajęli miejsca: Stanisław Firlej z Dąbrowicy Podkomorzy Lubelski, Daniel Iżycki Sędzia Grodzki, Marek Sobieski Starosta

Krasnostawski, Jakób Michałowski Wojski Lubelski; obok nich Cześnicy, Miecznikowie, Wojscy i sąsiedniej szlachty bez liku, wszyscy z żonami, z córkami, a to takie grackie dziewczęta, że aż lubo oczom popatrzeć, choć bez zamorskich strojów i czupiradeł; wszystkie w kontusikach po polsku, długie warkocze spływają za kolana, a w nich barwiste wstęgi wplecione do połowy, z pod kontusików wyglądają białe spódniczki, nastrzępione rzęsistemi falbanami, a z pod nich zgrabne nóżki, ujęte w czarne na obcasach ciżemki. Na każdej twarzy nieudany rumieniec, na każdych ustach nieprzymuszony uśmiech!

Obok nich kręci się młodzież, a każdy przy szabli i pod wąsem. Ktoby ich widział prawiących jedwabne słówka, wyciskających pocałunki na zgrabnych rączkach, aniby pomyślał, że oni za kilka chwil z równą ochotą staną do walki, i tak śmiało zajrzą w oczy nieprzyjacielowi, jak śmiało patrzą w miłe czarnych i niebieskich oczek spojrzenia. Oniby wyśmieli dzisiejszego panicza, ślizgającego się jak sylfida po wygładzonej posadzce, deklamującego wyuczone grzeczności, rozprawiającego o spazmach sercowych, a nieumiejącego dojąć konia, lękającego się wystrzału, i otulającego się troskliwie od przeziębienia, bo oni nie pojmowali, czy będzie mógł się kiedy zwać mężczyzną ten, co męskiego serca nie nosi!

Wśród powszechnego ruchu i wrzawy ukazał się Jan

Kazimierz, otoczony Regimentarzami i dowódcami chorągwi pancernych, i obszedł w koło salę; z każdym coś pomówił, każdego szczerze powitał, nawet i dziewczętom nie jedno miłe słówko dostało się w udziale. Potem zawezwał Podkomorzego i Starostę, aby z niemi o sprawach publicznych pogadać, a za danym znakiem do wieczerzy, podał rękę pani Firlejowej, i poszli do obszernej izby, gdzie stoły gięły się pod ciężarem srebrnych mis, napełnionych różnego smaku i kształtu potrawami.

.....

Gdy po wieczerzy spełniano liczne wiwaty, a ustawione na podwórzu moździerze odpowiadały im wystrzałami, wjechała w bramę czterokonna, całkiem osłonięta kolasa, i minąwszy szybko zamek, zajechała przed mały domek, pod murem w lasku stojący, zupełnie odosobniony. Z kolasy wysiadła niewiasta czarno ubrana, od stóp do głowy zasłonięta, i wbiegła we drzwi, które jej Andrzej, powiernik Serbinowicza, otworzył. Gdy słudzy pozdejmowali tłomoki, i kolasa odeszła, a Andrzej oddawszy przybyłej niewieście małą karteczkę także oddalił się; ona zamknęła drzwi, odchyliła zasłonę zakrywającą jej twarz, usiadła, oparła głowę na cudnej białości rączce, i rzewnie płakać zaczęła.

Trzykrotne stuknięcie do drzwi zwróciło jej uwagę.

— Kto? zapytała z cicha, jakby lękając się własnego głosu.



— Wytrwałość!

Niewiasta spojrzała na karteczkę, którą jej oddał Andrzej, podniosła się szybko i otworzyła drzwi. Wszedł Serbinowicz.

— Witam was Podkanclerzyno, przemówił kłaniając się nisko; ale dla czego tak późno?

— Bóg mię na każdym kroku dotyka, mój poczciwy starcze; oczekiwałam na pana Bogusława, który w drodze śmiertelnie zachorował, i nie mógł ze mną przybyć.

— Nie było potrzeby czekać. Pan Bogusław nie ulży ciężaru, który na naszych ramionach złożony, a każda chwila jest drogą.

— Ja wiem, żeby nic nie pomógł, ale mężczyzna mógłby mię zasłonić od napaści, której z każdą chwilą się lękam; zemsta takiego człowieka jak Podkanclerzy najodważniejsze serce może napełnić trwogą.

— Próżna obawa; Podkanclerzy w Warszawie, a pani o kilkadziesiąt mil drogi, pod obcym imieniem i szatą, czy można przypuścić jaką napaść?... Zresztą niedaleką jest chwila, w której pani, zasłonięta najwyższą w kraju opieką, będziesz mogła swobodnie powrócić do własnego domu, i zapomnieć, że jest jaki Radziejowski na świecie.

— Oh, gdyby to Bóg dał, mój starcze! poszłabym piechoto do Częstochowy, podziękować Matce Najświętszej za to cudowne prawie ocalenie.

Serbinowicz coś mruknął pod nosem, potem dodał:

— Wszystko zależy od tego, jak Król was przyjmie, pani Podkanclerzyno, bo w przeciwnym razie największe usiłowania nie pomogą.

— O! Król nie odrzuci mojej prośby, prośby nieszczęśliwej kobiety, uciekającej się pod jego opiekę, jestem prawie tego pewną; drzę tylko na wspomnienie, czy będę mogła z nim się widzieć.

— Zapewne, słuszna bardzo obawa, ale korzystać trzeba z każdej sposobności, bo inna może się nie nastąpić. Król po wieczerzy pójdzie do siebie i o jedenastej będzie już sam.

— Ale o tej porze?

— Gdzie nie wiele środków, tam nie ma wyboru.

— Jakże się dostać?

— Straże będą uprzedzone.

— Ha, niech się dzieje wola Boża!

— Zapewne.

— Cóż mam pytającym powiedzieć?

— Okazać im tę kartkę.

Niewiasta z pospiechem wzięła kartkę, na której był podpis: Joannes Casimirus Rex.

— O! niech ci Bóg nagrodi, poczciwy starcze, że się słabą niewiastą opiekujesz.

— Potem o tem, łaskawa pani, a teraz chwilę są policzone. Powtarzam, o jedenastej Król będzie sam.

— Pamiętam.

— I o tem trzeba pamiętać, że od tego spotkania bardzo wiele zależy.

— Nie zapomnę.

I Serbinowicz, ukloniwszy się w milczeniu, wyszedł, a niewiasta zamknąwszy drzwi, znów w głębokiem pogrzyżała się dumaniu.

.....

Wiwaty przycichły, wieczerza się skończyła, na zamkowym podwórzu gwar ustał, przytłumiony potrzebą spoczynku. Gdzieniedzie tylko podochocony dworak nucił o czarnych oczach zalotnicy, i ponury odzew straży pytał przechodzących o hasło. Jan Kazimierz najpierwszy wyszedł z biesiadnej izby, aby pokrzepić się snem na jutrzejsze trudy, i udał się wprost do swoich komnat; przyszli jeszcze do niego Regimentarze i Obodźny, kilka słów wywołały dłuższą rozmowę. Król wydawał rozkazy i już było po jedenastej, kiedy wszyscy się oddalili, i Król zabierał się do spoczynku.

Na korytarzach rozstawione były warty, pod dozorem młodego Chorążego znaku Wiśniowieckich, Tomasza Grodzickiego, który wtenczas właśnie je obchodził, gdy we drzwiach ukazała się postać cała w czerni.

— Kto idzie?

Niewiasta wysunęła białą rękę i okazała kartę z podpisem. Grodzicki zbliżył lampę, odczytał, i wskazał przybyłej drzwi królewskich komnat.



Weszła, i znów wszystko ucichło.

.....

Już strażnik na baszcie w drewnianą tablicę dwanaście razy uderzył, a jeszcze z okien królewskich komnat światło wygląda. Na dworze pociemniało, szare chmury wlokące się od zachodu zakryły światło księżycy, i zrobiło się tak duszno, jak gdyby kto kamieniem przyłożył piersi. W dali zaczęły migać błyskawice, to szerokie jak łona chmur, to wąskie i kręte jak ścieżki w górach, za niemi i grzmoty dalekiem odzywały się echem.

Ze znanej nam izby w baszcie wyszło dwóch ludzi: jeden niski i szczupły, drugi wznioślejszej postawy; o- badwa nieśli drabinki, niższy coś mówił, ale tak cicho, tak po kropelce cedził słowa, że trudno było zrozumieć, wyższy zaś za każdym słowem rzucał się w różne strony, jakby nie mógł znieść jego mowy. Przyszli pod ściany królewskich komnat, przystawili drabinki i weszli. Ciemność panująca na dworze dozwalała im widzieć co się wewnątrz działo, i musieli coś nie dobrego obaczyć, bo towarzysz niskiego starca zakląwszy okropnie sięgnął rękę do kieszeni, ale starzec ujął ją gwałtownie, szarpnął, drabinki się zachwiały i obaliły na ziemię; w komnacie cień mignął po suficie, drzwi skrzypnęły i światło zagasło.

W pół godziny, przed drzwiami baszty stał koń osio-

dłany, dosiadł go ten sam wysoki jegomość, któremu tak się coś nie podobało w królewskiej komnacie, i jak wiatr poleciał drogą ku Lublinowi.

Jeszcze tentent cwałującego jeźdźca nie ucichł zupełnie, kiedy przed Chorążym Grodzickim stanął młodzieniec, któregośmy widzieli w Warszawie przed Śtokrzyskim kościołem.

— Ja chciałbym z Królem mówić, wyrzekł głosem, w którym przebijało się pewne postanowienie.

— Król śpi.

— Wypada go obudzić.

— O tej porze?

— Gdy niebezpieczeństwo zagraża, każda pora jest właściwą.

— Niebezpieczeństwo? ja go nie przewiduję.

— Ludzie o tyle przewidywać mogą, o ile widzą.

— Wasze nazwisko?

— Nie będzie wam wiadome.

— A wy nie będziecie widzieć się z Królem.

— A wy przyjmiecie na waszą głowę odpowiedzialność.

Milczeli. Grodzicki przecierał czoło, jak gdyby chciał odpędzić resztki snu.

— Panie Chorąży, po co to wahanie? toć gdybym chował złe myśli, nie prosiłbym was o wejście.

Grodzicki zebrawszy całą przytomność, postanowił o-  
znajmić Królowi żądanie nieznanego i udał się do sy-

pialni; długo słyhać było różne pytania i odpowiedzi, aż wreszcie Król wyrzekł: niech wejdzie.

Choraży odniósł te słowa nieznanemu i puścił go do królewskich komnat.

Świece już były zapalone, i Jan Kazimierz siedział na łożu. Wzrok jego nie objawiał niespokojności, jaką podobne odwidziny w słabszem sercu obudzić mogły; jedną ręką trzymał podniesioną kotarę, drugą głaskał białego ulubionego pudła, aby nie rzucił się na wcho-  
dzącego.

Młodzieniec nie stanął u wnijscia, ale śmiało zbliżył się do królewskiego łoża.

— Cóż tak ważnego przynosisz młodzieńcze, żeś považył się przerwać mój spoczynek? zapytał Jan Kazimierz z lekkim wyrzutem.

— Spoczynek jest występkiem w niebezpieczeństwie.

— W jakim?!

— Królu! nie zostawaj tu dłużej; obleżeni pod Zbarażem nie mają chleba i wody, bo chleba im nie stało, a wodę zatruto. Bogdanko połączył się z Tatarami, w ściśniętym obozie z głodu i wyziewów powstały choroby, co dzień giną setki walecznych, a reszta wygląda twego przybycia, jak wybawienia z ciężkich, niepojętych męczarni. Spiesz Królu pod Zbaraż, każda chwila jest dla nich wiekiem.



— To być nie może, wczoraj odebrałem przeciwne zupełnie wieści.

— Nie wierz im N. Panie! nie wierz poszeptom złych zamiarów; z pomiędzy tych, którzy ci te wieści przynieśli, ani jeden dobrze nie radził; są czyny, z których dopiero przyszłość zedrze maskę obłudy.

— A jakże mogę zaufać tobie nieznanemu, kiedy radzisz nie wierzyć tym, którzy mi są znani?

— Królu, prawda zawsze prawie jest gorzką, powiedział jeden z mędrców greckich i ten kto prawdę nosi w sercu, nie odziewa słów jasną barwą.

— Dobrze to jest, ale ja potrzebuję przekonania.

— Mam je....

— Okaż!

I młodzieniec podał list, który kilkoma już oderwanymi pióreczkami był opieczętowany.

Jan Kazimierz przebiegł go szybko i z każdym słowem wzrok jego rozplómił się niespokojnością.

— Nieszczęśliwi!... a ja tu spię spokojnie! przywołaj służbowego!

— Cierpliwości, N. Panie! ranek już bliski, trwoga obudzona tak nagłym pospiechem niebezpieczniejszą być może od obojętności; niech wojska W. K. M. wiedzą o cierpieniach braci, ale niech ta wiadomość nie będzie powodem do zwątpienia!

— Na Boga! młodzieńcze! powiedz kto jesteś, każde

twe słowo oznacza głębokie zastanowienie, czyś anioł lub szatan? powiedz!..

— Ani jedno ani drugie, N. Panie! człowiek, i do tego człowiek nieszczęśliwy, poświęcony osobistym widokom, zaprzędany najgubniejszym celom, skazany na wyparcie się wrodzonych uczuć.

— To nie wszystko, ja chcę wiedzieć więcej.

— Daruj N. Panie, ale więcej wiedzieć nie będziesz.

— Jak śmiesz mi to powiedzieć?

— Bo inaczej być nie może.

— A gdybym rozkazał cię zatrzymać?

— Tobys N. Panie odplacił niewdzięcznością moje poświęcenie, i nie się nie dowiedział, bo ja jestem na każdy wypadek przygotowany.

Jan Kazimierz porządkował myśli, aby trafić cokolwiek do ładu, i po chwili zapytał:

— Czy już nic więcej nie masz do oznajmienia?

— Mam.

— Mów więc!

— Czy N. Pan wiesz, że Podkanclerzy Radziejowski jest w tych stronach?

— Nie...

— A czy wierzysz, że przed godziną widział żonę swą w pokojach W. Kr. M.?

— Bredzisz młodzieńcze, twój umysł jest pomieszany; Radziejowski w Warszawie.

— A ja powiadam, że przed godziną był tu; posłuchaj mię N. Panie. Są ludzie, którym wiele na tem zależy, aby jaknajwięcej rozsiać niechęci; pracą tych ludzi Radziejowscy sprowadzeni zostali do Wysokiego, każde w innym celu, a cel był jeden: aby w namiętnej duszy Podkanclerzego obudzić zemstę i skierować ją do osobistych widoków. Zamiar został osiągnięty. Radziejowski pod oknami W. Kr. M. wyrzekł straszne przysięgi, i pospieszył zebrać swych stronników, aby przy ich pomocy, ułatwionemi drogami, odzyskać małżonkę i okrutnem obejściem zapłacić jej wzgardzone obowiązki.

— Ależ dla Boga! cóż on chce od niej? jej postępowanie tak czyste, ona przyszła błagać mię o opiekę.

— Czyż to nie dosyć do podsylenia dumy zuchwałego człowieka? a powtarzam, że ci ludzie nie nie pominełi, coby go rozdrażnić mogło.

— Któż oni są?

— Ludzie.

— To nie dosyć.

— Więcej mówić nie mogę.

— Dla czego?

— Bo i ja do nich należę.

— Jakto?

— Zmuszono mię, abym zaprzągnął się w jarzmo występku, przysiągłem, i jeżeli złamałem przysięgę, to tylko ze szczerą dla ciebie N. Panie i dla kraju miłości! Ostrzegłem cię, będę czuwał nad każdym występkiem,



mogącym wyrzucić złe skutki, zapobiegać o ile tylko siły dozwolą, a ukaranie tych występków zostawiam Bogu!

— Nie pojmuje cię młodzieńcze!

— Może przyjdzie chwila, w której N. Pan będziesz mógł mnie pojąć.

Jan Kazimierz zamyślił się i po chwili zapytał:

— Powiedziałaś, że Radziejowski zbiera stronników, i przy ich pomocy chce gwałtem odzyskać swoją żonę; jakżeby śmiał czyn podobny popełnić w mojej obecności?

— Wasza Kr. Mość oddalisz się jutro, a zresztą są kręte ścieżki, które czasem prędzej doprowadzą do mety aniżeli bity gościniec. Pani Radziejowska jest pod wpływem osób, którym się nierozważnie powierzyła, a które za nią chcą sobie kupić stronnika.

— Cóż więc trzeba uczynić?

— Wywieźć ją natychmiast z błędu, i skrycie wprowadzić z zastawionych siodeł.

— Jakim sposobem?

— Ja pomyślę o sposobach, czekam tylko zezwolenia W. Kr. M.

— Najchętniej; pragnę tylko, aby szanowano jej imię i aby narażoną nie została na gorsze niebezpieczeństwo.

— Racz N. Panie zawierzyć, że przy mnie nic złego ją nie spotka; gotów jestem życie narazić, aby ją tylko ocalić.

— Jakież masz zamiar?

— Zawieźć ją do Pilaszkowic, do domu Starosty Kra-  
nostawskiego, tam tylko może być bezpieczną.

— A później?

— Później przybędzie pan Bogusław Służka i nara-  
dzimy się wspólnie, co nam czynić wypadnie.

— Pochwalam ten zamiar, i wspomnę o nim jutro  
Staroście; a teraz, tajemniczy młodzieńcze, nie trać czasu,  
ranek już nie daleki, a sądzę, że przed wschodem słoń-  
ca zechcesz być w Pilaszkowicach. Bądź zdrów!

Gdy młodzieniec zabierał się do odejścia, Jan Kazi-  
mierz dodał:

— A nie zapomnij o przyrzeczeniu, i czuwaj, aby  
wstępne zamiary nie zlały więcej nieszczęść na ten  
kraj biedny, nie przyczyniły mi trosk.

— O Królu mój! bądź tego pewny póki życia i sił  
wystarczy, odpowiedział, przyciskając ręce do piersi, i  
wznosząc w niebo zaszłe łzami oczy, jakby na świadec-  
two słów tak uroczyście wyrzeczonych.

Jan Kazimierz wyciągnął rękę, młodzieniec czule i  
z zapałem uściskał ją, oddał pełen powagi ukłon, i od-  
dalił się.

.....

Wiatr zachodni rozwiął ciężar powietrza, rozpę-  
dził chmury, wyjrzał księżyc i gwiazdy, a na wschodzie  
jutrzeńka zaczęła ukazywać rumianą swoją twarzyczkę,

gdy, jakby na jej spotkanie, na stajenne podwórze wyszedł Ostap Ukrainiec, i spojrzął ku niej, ale jakoś nie wesołym spojrzeniem. Może zadumał się o swoich, o rodzinnej slobodzie, może wiatr dmuchnął mu w ucho stepową piosenkę, a z nią dawne wspomnienia, bo tu jego sercu tak smutno! gdzie tknąć, obca mowa, zwyczaj; gdzie spojrzeć, góry i lasy, a on nawykł szeroko patrzeć, całą piersią oddychać. Smutno mu też w obcych stronach, bo w obcych wszystko obce!

Stał i patrzył na promienie świtu, na chmury wymijające księżyc, i dumał, gdy Maksymian schwycił go za rękę.

— Ostapku!

— A, to wy paniczu! pfuj, ja myślał, że to czort albo znahor.

— Już świta i czorty poszły spać, posłuchaj! czy ty mię lubisz?

— No taj prawda, tak serdecznie jak rodzzonego baćka.

— I zrobisz co ja każę?

— Dla czego nie!

— Okulbacz dwa konie, i wyprowadź je furtką za lasek, masz oto klucz od niej, a jakby cię kto pytał, to powiedz, że wyjeżdżasz ze mną do Kijowa; tam w lasku koło dwóch dębów poczekasz, ja przyjdę i wszystko będzie dobrze; rozumiesz mię?

— Rozumiem.



— A jak się gracko sprawisz, to niezadługo zobaczymy Ukrainę, bo tu:

Ni ba'ka, ni radyny,  
Ni maty ni chatyny,  
S:roty skuczna wola,  
Oj horka, horka dola.

— Prawda, mój paniczu, święta prawda! nam tu nie ma z kim się pobratać, wszystko do czortów podobne; jedźmy, jedźmy jaknajprędzej.

— Pojedziemy, tylko spraw się dobrze.

— Czy dziś zaraz.

— Nie dziś, ale nie długo.

— Święta Matko! daj to jaknajprędzej! i weselszy pobiegł cwałem ku stajni.

.....

W domku pod murem, zajęтым przez tajemniczą niewiastę, największa panowała spokojność, gdy ten sam młodzieniec, który na podwórzu z Ostapem rozmawiał, zapukał ostrożnie do drzwi.

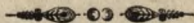
— Kto?

— Wytrwałość.

I natychmiast mu otworzono. Wszedł, cichy szmer napełnił izbę, słyszeć nawet można było przytłumione łkania, a to wszystko tak ostrożnie, jakby lękano się ścian domku i promieni księżyca, zagląających w wązkie okienka.

Niezdługo wyszły dwie osoby; czarne, podróżne płaszczki osłaniały obiedwie, nie można więc było rozróżnić postaci, jedna z nich tylko zgrabnym ruchem zdradzała tajemniczą osłonę. Wyszły cicho, ostrożnie, i tak samo ostrożnym krokiem przeszły koło muru, trafiły do furtki, w której był klucz, i weszły w las. Jedna z nich, zapewne obeznana z położeniem miejsca, śmiało prowadziła drugą przez kręte ścieżki osłonięte zaroślami, aż wreszcie ukazały się dwa wyniosłe dęby, jak dwaj bracia bliźniacy podpierający się wzajemnie. Pod dębami stał Ostap, trzymając dwa okulbaczone konie, podał je przybyłym, pomógł wsiąść, pocałował w rękę jedną z tych osób, przeżegnał, i wrone bieguny cwałem ich poniosły.

Ostap popatrzył chwilę, pokiwał głową, zanucił tęskną dumkę i wrócił tą samą ścieżką.







## VI.

**Z**aledwie słońce powitało ziemię swoim złotokiem spojrzeniem, a już Jan Kazimierz porzucił łóżę, i w różne strony licznych wyprawił gońców. Nadeszli Regimentarze, i po krótkiej z Królem rozmowie rozbiegli się wydawać rozkazy do pochodu.

Z tej tak nagłej zmiany dziwne powstały domysły; najwięcej zastanowienia mający mówili, że Król odebrał tajemne wieści z Ukrainy o zachodzących drogę Tatarach, inni, że Królowi przyśnił się straszny zwierz stojący z rozwartą paszczą nad obozem; starzy towarzysze pancerni zauważyli stada drapieżnego ptastwa wędrującego ku południowi, i złę ztąd wnosili sukcesą.

Wszyscy jednak z ochotą w sercu i pieśnią do Boga Rodzicy w ustach, zwijali obozowe szałas, kulbaczyli konie i spieszyli za wioskę na wzgórze, gdzie zbierały się szyki.

Niezadługo stanęły liczne chorągwie pancernych, okrytych lśniącą zbroją, dzielne konie zaledwie ich unieść mogły; dalej hussarze w lekkich karacenach, przy barwistych proporcach; i Ukraińska jazda, szybka jak lot sokołów, lekka jak wiatr stepowy. Na przodzie armaty powystawiały szyje i zieją otwartemi gardłami. Koło nich snująca się piechota. Wszędzie grzmiały trąby, dodając sercom wesela i nadziei.

Serbinowicz spoczywał jeszcze po wczorajszych trudach, gdy wszedł Andrzej.

Twarz jego zimna i ponura wyrażała trwogę i niepokojność.

— Co mi przynosisz? Andrzej.

— Złe wieści.

— Jakie?

— Pani Podkanclerzyna zniknęła.

— To być nie może, oszukano cię.

— Na własne oczy widziałem izbę pustą, i w niej ani śladu Podkanclerzyny.

— Może wyszła.

— Przeszukano wszystkie podwórza.

— Nie, ja temu nie wierzę. —

I starzec wyskoczył z łóża, biorąc na siebie z pośpiechem przygotowaną odzież.

— Ale to jeszcze nie wszystko.

— Cóż więcej?

— Król dał rozkaz, aby się wojska zebrały.

— Po co?

— Chce iść dalej.

— Zkądże tak nagle zmiana?

— Podobno odebrał złe wieści z Ukrainy.

— Przez kogo?

— Nie wiem.

— Chyba anioł albo szatan przyniósł mu je. Andrzej, przywołaj mi Maksymiana.

— Wyjechał do Kijowa.

— Kiedy?

— W nocy.

— Z czym?

— Przecież wczoraj daliście mu rozkazy.

— Ale zkądże taka pilność?

— Wziął nawet dwa konie, aby prędzej mógł stanąć.

Serbinowicz zamyślił się, przeszedł się kilka razy po izbie, i z ułożonym już planem wyszedł na podwórze.

.....

Jan Kazimierz siedział za stołem, na którym rozrzucone były różne pisma; otaczali go Regimentarze, O-



bożni, Półkowódcy i znaczniejsi z rycerstwa. Twarz Króla, pomimo przymuszonej spokojności, wyrażała jakąś niepewność, jakąś wewnętrzną obawę.

— Panowie! zawołał, trzeba nam spieszyć pod Zbaraż; odebrałem bardzo smutne wieści przez usta człowieka natchnionego od Boga; trzeba spieszyć mówię, bo kto wie, czy nie przybędziemy zapóźno, czy nasi bracia wokropnych mękach głodu nie będą przeklinać lenistwa naszego. Położenie ich jest rozpaczliwe: otoczeni do koła nieprzyjacielskiem wojskiem, w słabych okopach nie mają wody, i brakuje im już chleba. Śmierć zewsząd im zagraża, a my mamy spoczywać?!.. Onie! zniesiemy wszystkie trudy, aby podać im rękę i nie ściągnąć na głowy nasze ich krwi; spieszmy!

Niewypowiedziany zapal ogarnął wszystkie serca. Spieszmy! powtórzyli wszyscy; oni tam giną! Królu, prowadź nas! a prowadź jaknajprędzej!

Wśród tej powszechnej wrzawy wszedł Serbinowicz. Jan Kazimierz na jego widok bardziej jeszcze twarz zchmurzył.

— A co mi Waszmość powiesz? zapytał ozięble.

— N. Pan tak prędko nas opuszcza.

— Bo nie chce wierzyć ludziom, którzy mi radzili pozostać.

Serbinowicz aż się trzy razy zakrztusił, zanim wymówił:

— Trudnoć to przewidzieć, która rada jest dobrą.

— Ta, która jest szczerą. Ale żegnam Waszmość, czas mój jest bardzo policzony.

Serbinowicz ukłonił się nisko i chciał odejść, gdy Król zawołał:

— Ale, ale! zaczekaj no Waszmość. Panie Podskarbi!

Z orszaku wyszedł Mikołaj Daniłowicz, Podskarbi koronny, i stanął przed Królem.

— Proszę uczynić liczbę z wydatków na moje przyjęcie wyłożonych, i zwrócić je panu Serbinowiczowi.

— Ja nie żądam! odrzekł potulnie starzec.

— Ale ja chcę! zawołał gniewnie Król, i odwrócić się do Jerzego Osolińskiego, nie uważając na ukłony umykającego z izby Serbinowicza.

.....

Nad rzeczulką, która biegnie z północy na południe, zebrało się mnóstwo ludu: starcy, kobiety, dzieci, cisnęły się, aby obaczyć króla i wojsko, aby pożegnać odchodzących.

Po obu stronach tej rzeczulki rozrzucone były niskie chaty miasteczka; na pół zawalone dachy, zielskiem zarosłe ogrody, nędzne odzienia mieszkańców, świadczyły o biednych, którzy pracując w pocie czoła, innym gromadzili dostatki.

Nadjechał Jan Kazimierz w licznym orszaku wojsków. Biały koń jego kroczył zwolna, ale tak śmiałym i pewnym ruchem, jakby wiedział kogo niesie. Z boleścią serca patrzył Król polski na nędzę nieszczęśli-



wych mieszkańców miasteczka, i myślał: jak uspokoję nieprzyjaciół, zaradzę wewnętrznej biedzie; nie wiedział, że los na karcie jego życia zapisał wieczne cierpienia, niczem niepokonane przeciwności, że ciągłe zapasy z niemi będą jego udziałem.

Król przybliżał się ku rzece, tysiące rąk podniosło się do góry, tysiące ust jednym głosem krzyknęły: niech żyje Król i Ojciec!! Jan Kazimierz wdzięcznie podziękował ludowi, ocenił jego radość, czystą, szczerą, nie przytłumioną niedolą, i wtedy uczuł słodycz królewskiego imienia.

Gromadka sędziwych wieśniaków, na czele której był starzec, biały jak gołąb, zastąpiła mu drogę.

Starzec zbliżył się, ucałował kraj szaty, i drżącym od wzruszenia głosem zawołał:

— Teraz Boże pozwól mi już umrzeć! Wzniósł oczy do nieba i dwie łzy sznurkiem pociekły po zoranej marszczkami twarzy. Jan Kazimierz podał mu rękę, którą starzec z zapalem ucałował, i ujmującym głosem zapytał:

— Powiedz, może czego żądasz odemnie?

— Nie żądam nic Ojce, jam już dość szczęśliwy, że cię widzę, że mogę powiedzieć, iż Bóg poszczęści twoim zamiarom, a stary Maciej nigdy jeszcze nie chybił. Jak mi Bóg miły, tak natrzecie karku poganom; tylko ojeze, będzie ktoś przy tobie, który źle zechce doradzać, nie wierz mu Panie i Ojce, a wszystko pójdzie jak z płat-



ka. I ja także przed laty nie siedziałem za piecem, było się pod Połockiem, Kircholmem i Bóg wie gdzie, a wszędzie człowiek nie oszczędzał krwi i sił, nie stało też ich teraz, ledwie nogi powłóczę, ale kocham kraj i was Ojcze, jak mego syna, a może jeszcze i lepiej.

— Dziękuję ci starcze za twoje rady, zachowam je w pamięci; ty zaś powiedz mi dla czego wasze miasteczko w takiej nędzy?

— Alboż my to mało doznali biedy? w wojnach nie ma żartu, trzeba porzucić wszystko i uciekać z duszą, a i dziedzic, pozał się Boże, tylko o sobie pamięta.

— Jak się nazywasz?

— Maciej Bieniek do usług, dawny żołnierz w chorągwi pana Adama Pszonki, dziedzica Babińskiego, a teraz Rajca w miasteczku.

Jan Kazimierz obrócił się do jadącego za nim Osolińskiego, polecił zapisać nazwisko starca i przywołać Serbinowicza.

Gdy przybył, Król skinął ręką, aby stojące opodal gromadki zbliżyły się, i mocno rozrzewnionym głosem zawołał:

— Dziatki moje! nędza wasza przejmuję mię ciężką boleścią, pragnąłbym lepszą dolą wynagrodzić wasze serca, ale wprzód o czem innem myśleć muszę. Przyjdą jednak chwile wytchnienia, ukończę nieszczęsne wojny, poskromię nieprzyjaciół i przy pomocy Bożej zajmę się losem waszym, ulepszę byt i zastonię od nędzy.

Teraz zaś uwalniam was dziatki od jednorocznych powinności i danin, uprawiajcie lepiej swoje pola, poprawcie walące się chaty, a ty, panie Serbinowiczu, policz co ci się należyć będzie i przedstaw to na pierwszym sejmie; gdyby stany odmówiły zapłaty, ja ją z mojej kieszeni zapewniam. Bądź zdrów Macieju, proś Boga, abyś w przepowiedni nie chybił. Bądźcie zdrowe moje dziatki, chowajcie w sercach pamięć dzisiejszego zdarzenia, i starajcie się o polepszenie waszego bytu.

— Królu! Ojczel! niech ci Bóg błogosławi, niech cię prowadzi szczęśliwie. Ślady twoje wnukom przypomną dzisiejszą łaskę, zachowamy ją w sercach głęboko! wołano zewsząd, ale Król był już daleko; zagrzmiały kotły i trąby, Jan Kazimierz stanął na czele, przemówił słów kilka do wojska, szabłą krzyż św. zakreślił, i ruszył wprost przez pola ku wiosce Tarnawką zwanej.

Długo powiewały w dali różno-barwne chorągwie, długo brzmiała pieśń św. Wojciecha, której błagalne tony biegły do Matki Bożej, z prośbą o pomoc i opiekę, długo tłumy ludu w jedną pochylone stronę tęschnem spojrzeniem ścigały odchodzących, aż gdy ucichły pieńia i znikły ostatnie szeregi, każdy wrócił do domu błogosławić dobrego Króla.

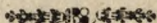
.....

Ubiegły dwa wieki, a w Wysokiem od dziecka do star-

ca wszyscy wiedzą, że droga od miasteczka do Tarnawki wtedy powstała, kiedy Król Polski ciągnął z wojskiem pod Zbaraż. (1)

---

(1) W inwentarzu z r. 1663 następująca jest wzmianka: „Droga od miasta wprost przez górę do Tarnawki, wtedy uczyniona, kiedy Król Jegomość ciągnął z wojskiem pod Zbaraż:





Journal of the American Medical Association  
Published Weekly, except on Sundays, Holidays, and  
the last day of the Month of December, when it is  
published bi-weekly. (Volume 11)

Subscription prices: Single copies, 10 cents; 12 issues,  
\$1.00; 24 issues, \$1.95; 48 issues, \$3.75; 96 issues,  
\$7.25. Advance payment is required. Payment may be made  
by check, money order, or registered mail. Subscriptions  
are entered as second-class matter, postage paid at Chicago,  
Ill., under Post Office No. 383, Post Office of Special  
Delivery, and at additional mailing offices. Postmaster:  
Send address changes to JOURNAL OF THE AMERICAN  
MEDICAL ASSOCIATION, 535 N. Dearborn St., Chicago, Ill.

## VII.

**Z** świtającym porankiem wschodził 21 sierpnia roku Pańskiego 1649. Poważne cienie nocy umykały z drogi jutrzence, zaścieniającej światu swoje przejrzyste szaty, jakby na pociechę po kilkodniowej żałobie. Księżyc co raz bledszy dążył do zachodu, i omdlałem spojrzeniem przesełając ziemi pożegnanie, rozsiewał kropliste łzy, jak świadki swego żalu.

Sierpień, ów miesiąc tak oczekiwany od rolników, noszący w swem nazwisku godło pożytecznego narzędzia, którem zlany potem żniwiarz zbiera hojne kłosa, aby ich owocem wyżywił siebie i drugich. Biedny w późnej jesieni przewracał skiby, orał, siał, widział

wschodzące młodziuchne trawki, w zimie drżał na każde silniejsze zadęcie mroźnych wiatrów, z wiosną znów ujrzał uśmiechające się nadzieją zagony, znów orzał i zasiewał, i znów truchlał za każdą chmurą grożącą piorunami i gradem. Doczekał się wreszcie upragnionego celu, obciążone ziarnem kłosa pochyliły się ku ziemi, drżącą od radości ręką porywa krzywy sierp, zapomina o trudach, jakie poniósł i jakie poniesie, dziękuje Bogu za ziszczoną nadzieję i z pieśnią w ustach spieszy zbierać owoc swych prac i niepokoi!

Lecz jeśli ten sierpień, zamiast radości, przyniesie mu gorycz i troski, jeśli te pola, które z taką pracą zasiewał, i które w jesieni i z wiosną wdzięczyły się do niego nadzieją, widzi zdeptane taborami, sponiewierane pogardą jego znojów; z jakąż boleścią przychodzi o-swoić mu się z myślą, że jego dziatki pomrą z głodu, jeśli Bóg, który i o tych co nie sieją i nie orzą pamięta, nie ześle im pożywienia!

.....

Na rozległej przestrzeni, jak tylko oko dosięgnie, bieleją płócienne szafasy, dymy wznoszą się pod obłoki, i na wysokich dzirytach powiewają jasne chorągwie. Na przodzie stanęły nie przeliczone szeregi, las spis wyziera nad ich głowy i stoją; z lewego skrzydła mignęły złociste dwurożce, chmura czerni wysypała się z pola, i znów stanęła obok gotowych do pochodu szeregów.



Z pod obszernego i odznaczającego się bogatemi opięciami namiotu wyjechał wódz na karym koniu. Ztwarzą zaczerwienioną gniewem skinał szablą ku wschodowi, i wszyscy za nim ruszyli, ale tak ostrożnie, jakby nie chcieli zostawić po sobie śladów.

.....

Na wzgórzu majaczej wieże kościołów i dachy wznioślejszych domów miasteczka, a nad niemi unoszą się kłęby dymu, i wiszą jak opony nad katafalkiem. Miasteczko, to Zbaraż, dymy, to z nieprzyjacielskiego obozu, który pod niem szerokie rozciągnął ramiona.

Na przeciwległej równinie widać nie wielki czworogran taborów, zamykających obóz polskich szeregów i zasłaniających go od nieprzyjacielskich szturmów. Na usypanych okopach stoją liczne szmigownice, otoczone wyborem ludu, bo w nich cała nadzieja obrony, wstrzymania częstych napadów, i przedłużenia, choć na jakiś czas jeszcze, strasznej dla wszystkich chwili podania się oblegającym.

W tym to obozie, pod uplecionym z rogoży namiotem, na rozpostartej słomie leżał młodzieniec znękany głodem i chorobą. Śmiertelna bladeść oblokła mu lice, oczy zaszyły mgłą, usta spalone gorączką szeptały słowa modlitwy.

Jakiś ruch około namiotu zwrócił jego uwagę, nadzieja wstąpiła w serce, chciał się podnieść, gdy wtem

wszedł Mielecki, Rotmistrz pancernych, starzec, który w obozie swe życie przepędził.

— A co! Jacusiu, zawołał na całe gardło; nie chciałeś mi wierzyć, kiedy mówiłem, że o nas nie zapomną, że choćby podeszwy od butów zjeść, a trzymać się dopóki nas nie wybawią; teraz pójdź, posłuchaj co się dzieje w obozie, jak wzrosłem na nogi, takiej radości nie pamiętam. Młodzieniec chciał się podnieść, ale zbyt słabe osłabienie wstrzymało jego chęci, aż Rotmistrz podał mu rękę i zdźwignął go z posłania.

— Krzysztofie, mów wyraźniej! wyjąknął, nabierając tchu.

— Toć wyraźnie mówię, że stało się jak przewidziałem, przecież to tam w Senacie nie baby rej wodzą, aby o tych, co kraj swemi piersiami zasłaniają, zapomniano.

— Więc jest wiadomość od naszych?

— Nie tylko wiadomość, ale oni sami idą!

— Idą!?

— O tak, idą! jak dziś św. Jacka, ja mówiłem, że ten święty wydzwignie nas z nieszczęścia, on nie na próżno dawniej między naszymi ojcami się chował. Wstań Jacusiu, dalibóg wstań, jak obaczysz co się w obozie dzieje, to ci siły za trzech przybędzie.

— Krzysztofie, pragnienie mnie strasznie pali, nie masz choć kilka kropel wody?

— Nie mam, moje złotko, nie mam Bóg widzi, od

gęby odjąłbym dla ciebie. Szelmy bisurmany, chcą abyśmy wysnęli jak ryby, zatruli nam wodę, ale nic z tego nie będzie, zakpimy z nich uczciwie.

— Ja nie wytrzymam, wewnętrzności zarpiecze. Krzysztofie poratuj mię!

— A to bieda!... ale poczekaj, stary Owsij był u swoich i musiał co przynieść, spróbuję. I nie czekając odpowiedzi wyszedł, a młodzieniec zebrawszy resztę sił, ukląkł i modlił się gorąco, dziękując Bogu, że mu pozwolił usłyszeć słówko pociechy.

Nie wyszło kilka chwil, gdy wrócił Rotmistrz, oczy jego pałały zadowoleniem, w jednej ręce niósł sporą blaszanke, a w drugiej skórzaną torbę, i z daleka już wołał:

— Jest Jacusiu posiłek, gorzałka, a jaka przednia! prawdziwa żytnianka; zbliżywszy się zaś, dodał: dzięki Bogu, że będzie czem się posilić! dziś twoje imieniny, i jako tako przecie przypomną się te czasy, kiedyśmy to w Przyrowie wysuszali opleśniałe gąsiory. Pij moje serce, pij, a ręczę, że zerwiesz się jak do tańca, bo to dziś Pan Bóg cuda z nami wyrabia. I ja leżałem słaby jak dziecko, aż tu krzykną: nasi idą! och jak się zerwę, jak musnę wasy, jak uścisknę moją Karusię, to takim teraz mocny, że bym samemu djabłu karku jeszcze nadkreślił.

Młodzieniec skwapliwie wziął blaszanke, pociągnął



raz i drugi, odpoczął, i raźniej już spojrzął w koło siebie.

— A nie masz co przekąsić? Krzysztofie.

— O dalibóg! sprawię ci sute gody, już w tydzień noszę w torbie kawałek chleba, chowając go, aby, jak to mówią, na ostatni ząb położyć, ale podzielę się z tobą Jacusiu, bo przysłowie to nie wiatr:

I ostatnim kęsem chleba  
Podzielić się z bratem trzeba.

I rozpiąwszy torbę, dobył z niej kawałek zeschniętego chleba, położył na pieńku, rozciął pałaszem na dwoje, i podał połowę młodzieńcowi.

— Pokrop gorzałką i jedz moje dziecko, tylko nie zbyt łakomo. Psubraty zaszyli nam biedy za skórę, ale i my ją im odszyjemy, tylko daj Boże się spotkać! Ha! ha! gryziesz aż zęby ognia dają, paniczu, nie smakowały ci konfekta u pani Wojewodziny, ani grzanki cioci Stolnikowej, głód mówią najlepszy kuchmistrz, i niech mię djabli porwą, jeżeli to nie prawda.

Tak bąjał stary wojak, a młodzieniec zjadał suchara, zakrapiając go często gorzałką, i z każdym kąskiem przybywało mu sił. Nie wyszło dwóch godzin, gdy podniósł się prawie bez żadnej pomocy, i opierając się na ramieniu Rotmistrza, wyszedł z namiotu.

Do pana Firleja Wojewody Lubelskiego garną się ze wszech stron wojownicy na radę. Starzec to osiwi-  
ły w obozach, umie i ręką i rozumem przywozić; lic-  
zne zapasy nakarbowwały na jego twarzy zasług bez lic-  
by, które tak wymownie świadczą, że nie oszczędzał  
siebie, gdzie chodziło o oszczędzenie drugich. Obok  
niego Jeremi Wiśniowiecki, mąż wielkiej duszy i nie-  
pokonanego męstwa, Krzysztof Arciszewski, przełożony  
nad armatą, człowiek odważny i umiętny, ale nasią-  
knięty zagranicznymi zwyczajami (1), dalej Oboźni, do-  
wódcy chorągwi, a nawet i odznaczający się męstwem  
towarzysze. Na wszystkich twarzach jaśniej-  
e taka radość, jakby to byli nie ci sami, co od kilku dni żyli  
tylko samym suchym chlebem, nie mając nawet zaspoko-  
ić czem pragnienia, bo od zatrutej wody trzeba było  
przed czasem rozstać się z życiem. Z pierwszym pro-  
mykiem nadziei zapomnieli o tem co było wczoraj i  
oddali się z całym zapałem jaśniejącej przed ich oczy-  
ma, a tak upragnionej chwili ocalenia.

1) Krzysztof Arciszewski z Arciszewa młodość swoją spędził w Holenderskiej; był na wyprawie Indyjskiej, m. in. w podbiciu Brezylji; tam z nadzwyczajną odwagą wal-  
czył o oblężeniu fortec Larrayal, Porvacaon, Openado i w końcu pod Porto-Calvo. Powróciwszy do Polski, objął dowództwo nad artyleryją, był w bitwie pod Zborowem, i przyczynił się do odparcia wstrzymaniu napadów nieprzyjacielskich, ale zaraz po bitwie odjechał do Lwowa, i w r. 1650 umarł w Lesznie, gdzie jako Aryanus mieszkanie sobie obrał.



Kazano przywołać towarzysza lekkiej chorągwi, zwanego powszechnie Kresą (1).

Wszedł stary wojak, twarz usprawiedliwiała nazwisko: liczne kresy dziwnie z sobą powiązane świadczyły, że pewnie nie raz pocałował się z tatarską lub szwedzką szablą; jedną rękę oparł na nieodstępnej swej towarzyszce i obronicielce, a drugą przymusnął długie wąsy i czekał zapytania.

— Zbliź się tu Janie, przemówił Wojewoda, i powiedz jak to było.

— Ot tak, Wielmożni panowie: jak mi wczoraj głód dopieknął do żywego, tak pomyślałem sobie: ma djabeł wziąć marnie człowieka, to niech przynajmniej weźmie jak na Kresę przystało; i wyostrzywszy tego szablę, żeby od jednego zamachu ze trzech sprzątnąć, wymknąłem się za tabory i wmieszałem się między tych psubratów, co nas chcą głodną śmiercią wymorzyć. Jak Bóg ma co dać, to człowiek nie obaczy z kąd spadnie: pierwszy którego spotkałem, był mój bratunek, poznał mnie i zaraz plackiem do nóg, a ja go za uszy raz i drugi, aż się chłopczysko rozbeczał. Chciałem szelmę zabić za to, że wlażł gdzie nie trzeba, ale jak mi wszystko *in kaskim* to widzi Bóg, że pomyślałem: oni nic nie *wdzio*, gdy panowie ze swojemi Starostami i Wyzuwitami, *nie się* kiedyś za nich i za nas Panu Bogu rachunek zdadzą.

---

(1) Patrz vol. leg. t. 4 nadanie szlachectwa Kresie.



Książę Jeremi w czasie tych ostatnich słów trochę brew nastrzępił, widać, że one nie gładko weszły mu do uszu. Kresa zaś tak dalej mówił:

— Bratunek, wypowiedziawszy wszystko, dodał: ale nie smućcie się bardzo mój rodzony, wasza bieda się skończy: po obozie chodzą głosy, że Król z wielkiem wojskiem idzie wam na pomoc i jest już podobno pod Zborowem. Jak ja to usłyszałem, to jakbym się na nowo urodził, i nuż dalej męczyć bratunka, aby mi dał swego szkapę. Chłopczyśko, choć to kulą pachniało, nie odmówił, i jak drapnąłem, to przed północą byłem w Zborowie, pogadałem z naszymi, oni zaprowadzili mię do najstarszego Regimentarza, którego jakoś od soli (1) zowią, ja użaliłem mu się naszej biedy, i drała na powrot. Przed świtem stanąłem w obozie, oddałem konia bratunkowi, chciałem żeby zemną poszedł, ale powiedział, że to nie nasza rzecz odprzysięgać się wiary; nie miałem na to co odrzec, bo sam nie zrobiłbym inaczej, i aż mi się serce krajało, kiedym musiał odejść poczciwego chłopaka.

— I opowiedziałeś wszystko temu Regimentarzowi, co to go od soli zowią?

zenie. O! tak jakbym się przed nim spowiadał, a jeżeli się

---

(1) Ossoliński.

czego zapomniało, to pan rozumny, i widać w rzeczach wojennych wielce biegły, sam przypomniał i zapytał:

— Bogu niech będą dzięki! zawołał Książę Jeremi, a teraz moja rada, aby nie czekać w obozie ich przybycia, ale rozerwać tabory i natrzeć z tyłu na tych, którzy sądzili, że nas do poddania się zmuszą.

— Zgoda! zawołał Firlej.

— Zgoda! powtórzyli wszyscy.

Arciszewski chciał coś przekładać, ale zagłuszyły go grzmiące zewsząd okrzyki: idźmy! idźmy!...

Wojewoda wychodząc spotkał we drzwiach Mieleckiego ze znanym nam młodzieńcem, i serdecznie obu dwóch uściskał.

— Wyście chorzy, panie Opaliński, ja was na mój wóz zabiorę.

— O! już teraz zdrow jestem, Wojewodo, i czuję w sobie tyle sił, że nigdy więcej ich nie miałem.

— Ktoby to teraz chciał być chorym! dodał Rotmistrz głaszcząc wąsy, ja żebym umierał, tobym jeszcze garścią duszę przytrzymał.

Wojewoda się uśmiechnął i odrzekł:

— Z takimi żołnierzami tobym się połowy nie uląkł.

— Żartuj zdrow, Wojewodo, ja się od ciebie wszystkiego nauczyłem, a ty mnie masz za takie straszdyło dla połowy świata.

Wojewoda podał mu uprzejmie prawicę, i wskazując na młodzieńca, rzekł:

— A pamiętaj o nim, mój stary przyjacielu; to jeszcze słaba trzcinka, którą podpierać trzeba.

— Kto wie, może ta słaba trzcinka spruchniałą podporę wesprze, odpowiedział Mielecki, idąc za panem Firlejem, który spieszył urządzić wyprawę.

Gdzie dobra chęć przewodniczy, tam wybór łatwy. Za kilka godzin wszystko było gotowe i wojsko czekało hasła, aby rozerwać tabory i lotem błyskawicy w szeregi nieprzyjaciół uderzyć.

.....

Na obszernej równinie pod Zborowem stały naprzeciw siebie dwa wojska, wyglądając chwili strasznych i morderczych zapasów.

W namiocie Hana Tatarskiego spuszczone zasłony, i czaus odebrał rozkaz, aby nie wpuszczał nikogo.

Han siedział na niedźwiedziej skórze, trzymając w ręku pargaminową kartę; przed nim stał młodzieniec w czarnem odzieniu, z bladym ale pełnym stałości obliczem, w które Han wlepił swoje bystre przelotne spojrzenie, a obok niego tatar służący za tłumacza.

— Król polski ma znaczne siły, i nie lęka się sił waszych, ale chce żyć w zgodzie z tobą, Wielki Hanie, i dla tego przysłał ci upominki, mówił młodzieniec, nie zdradzając głosem pewności.



— Jakież są te siły? zapytał Han.

— Kto zliczy gwiazdy na błękitnie Ukraińskiego nieba, ten może będzie mógł policzyć wojska królewskie.

Han pomyślał chwil kilka, kazał tłumaczowi jeszcze raz przeczytać pismo, które trzymał w ręku, i przyłożywszy rękę do czoła na znak uszanowania, odrzekł:

— Powiedz Królowi, że Wielki Han robi co on chce, ale jeżeli Król nie dotrzyma co przyrzeka, to hordy moje rozpuszczę szeroko i tatarskie konie napiją się Wiślanej wody.

Młodzieniec skłonił głowę, a gdy Han dał znak, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, wyszedł, dosiadł konia, którego trzymał tatarzyn, i wymieniwszy hasło, ruszył ku obozowi.

.....

Półkowódcy nieprzyjacielskich zastępów zbierali je, rozwijając zwykłym szykiem. Stepowe tabuny złożyły uszy, rozwarły nozdrza, czekają tylko, rychło każą im się wysunąć i zahulać po swojemu, a stepowcy dzielnym spojrzeniem mierzą przeciwne szeregi, chciwi wojennego tańca; ośmieleni tylolicznymi zwycięstwami, radziby w jednej chwili na polu zasłanym trupami zaśpiewać zwycięską dumkę.

Już znane hasło ze wszystkich stron wzniosło się pod obłoki, a tatarskie ałlah! ałlah! nie odpowiedziało mu odezwą. Tatarzy cicho, spokojnie, jak by nie wiedzie-

li co się dzieje, objuczyli konie zdobyczą, janczarki przytroczyli do siodeł, i jak chmura przeciwnym wiatrem cofniona, w przeciwną ruszyli stronę.

Wódz na karym koniu długo patrzył, i nie wiedząc co się święci, nie chciał oczom wierzyć; gdy przybył, po Tatarach już miejsce zastygło. Piekielna złość zawrzała w jego mowie, rwał brodę, przeklinał, i byłoby kazał gonić za Tatarami, gdyby nie doleciały go z przeciwnej strony dźwięki bojowych tręb i chóralna nuta znanej mu dobrze pieśni.

Lekkie chorągwie pod dowództwem Łączyńskiego i Tetery, najpierwsze uderzyły w prawe skrzydło nieprzyjacielskich zastępów, które oparły się o wzgórze i lasem spis powitały nacierających.

Jan Kazimierz, dowodzący osobiście w tej bitwie, z niewypowiedzianą troskliwością śledził każdy obrot walczących, i drżał na samą myśl złych skutków, ale pierwszy ten harc nie źle się powiódł. Jan Kuczkowski, podszedłszy aż pod obozowe czaty, zmyślił ucieczkę, a gdy wysłana pogoń, pewna zwycięstwa, dościgała go, zmienił szyk i tak dzielnie natarł, że z wysłanego oddziału zaledwie połowa wróciła.

Strata ta ubodła dzielnego wodza, zagrały surmy, zagrzmiały działa, przerażające orszaki wzbity się pod niebiosa, i na wszystkich punktach rozpoczęła się bitwa. W jednej chwili dym i kurzawa osłoniły walczących, trupy zasłały ziemię, a jęki napelniały powietrze.



Ani na cal nie ustąpiły wojska, nie strwożyła ich liczba, nie zmieszała natarczywość, ale mężstwo nie zawsze przeważa siłę; już tłumy nieprzyjaciół zaczęły go otaczać, już kilka armat było w ich ręku, już chwiało się zwycięztwo, kiedy szlakiem od Zbaraża nadbiegły obleżeńców szeregi.

Ani rozbijała fala nie uderza z większym zapędem w opierającą się jej siłę, z jakim ta garstka wyniszczonych trudami uderzyła w nieprzyjacielskie zastępy, które nie wiedząc o niczem, nie spodziewając się z drugiej strony ataku, a myśląc, że to jest przygotowana zasadzka, zaczęły tracić odwagę, chwiać się i mieszać. Nacierani, widząc się wsparci jakby z nieba spadłą pomocą, podwoili usiłowania, a gdy spostrzegli chwiejące się nie dawno zwycięzkie szeregi, napanarli tak silnie, że z drugiej strony porządny odwrot stał się niepodobieństwem.

Po obu stronach walczących były grząskie bagna, wybierając między szablą a topielą, cofający się obrali drugie, i zapóźno błąd swój spostrzegli. Tysiące koni uwięzło w oczeretach, nie mogąc ochronić jeźdźców, od zguby. Nie ubiegło trzech godzin, a pod Zborowem nie było już nieprzyjaciół, którzy z zmniejszonym o połowę wojskiem, o dwie dobre mile zebrali się, aby policzyć doznane straty.

Pierwsze chwile poświęcił Jan Kazimierz na podziękowanie Bogu za zwycięztwo, i zaraz zapragnął obaczyć



się z mężnemi dowódcami obleżonych. Przyszli: Firlej, Wiśniowiecki, Arciszewski i inni. Król witał ich jak serdecznych przyjaciół, uściśnieniem ojca, witającego synów wyrwanych z ręki niebezpieczeństwa, chwalił ich wytrwałość, i wiarę w spodziewaną pomoc.

Czulsze nierównie powitanie było między towarzyszami broni: dobywali ostatnie zapasy, znosili co kto miał, aby posilić zgłodniałych braci; aby im okazać swą radość. Zaczęły się narady; z pomiędzy radzących był jeden, który namawiał, aby pójść w pogoń i dokonać zwycięstwa. Wielu chwyciło się tej myśli, ale Jan Kazimierz, mając w pamięci przestrogę otrzymaną w Wysokiem, nie spieszył się z zezwoleniem. Wsparł jego chęci Ossoliński, wykazał nierówne siły, obronne położenie nieprzyjacielskiego obozu, i niebawem przycichły pierwsze głosy, bo uznano, że pan, co go zowią od soli, mądrze i szczerze mówi.

.....

Pod drzewem leżał młody Opaliński, a koło niego kłęczał stary Rotmistrz, tamując krew uchodzącą z ran. Twarz młodzieńca strasznie pobladła, spojrzenie widocznie gasta, przyciskał do serca rękę przyjaciela, i dobywając resztki sił, mówił:

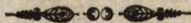
— Krzysztofie, powiedz mojej matce i rodzeństwu, że umarłem myśląc o nich, i proszę Wojewody Firleja, aby o nich pamiętał; oni teraz sieroty. Gdy domawiał tych

słów, nadszedł Jan Kazimierz, i twarz jego ciężkim osłoniła się żalem; młodzieniec otworzył oczy, wyciągnął do niego ręce, i dwie łzy ostatnie stoczyły się po licu, śmiertelną bladością okrytem.

— Królu! Oby ci Bóg zawsze takie dnie zsyłał! umieram szczęśliwy, bom widział nasze zwycięstwo. Westchnął, i z tem westchnieniem uleciało jego życie.

Jan Kazimierz przykląkł, nachylił się nad ciałem zmarłego, jakby pragnął dostrzedz jeszcze znaki życia, odmówił pacierze za poległych, i kazał, aby zwłoki młodzieńca w osobnem złożono miejscu.

Mielecki oddał mu ostatnią posługę, własną ręką wyciosał krzyż drewniany, i postawił na mogile, aby biednej matce zostawić ślad, gdzie ma szukać swojego jedynaka.



## VIII.



Krasnymstawie, z domku stojącego blisko zamku, wyszło dwóch ludzi: jeden kulawy, sługa pani Radziejowskiej, któregośmy widzieli w Warszawie, drugi tegiej postawy, choć już pod siwym włosem zawadyaka.

Wieczór sierpniowy łagodził całodzienny upał, liczne gwiazdy zasiane na ciemno-błękitnem sklepieniu migły wesolutkiemi oczkami, na wschodzie po całodziennym spoczynku wschodził księżyc, i pełną twarzą patrzył ku gwiazdom, a one uśmiechały się do niego, że aż ziemia rozjaśniła od nich ciemne niedawno oblicze.



Do koła gwarzyło miasto, dziewczęta i chłopaki biegli na błonia wsadzać w ziemię ucięte gałązki: czyja u-schnie, temu żegnaj się w tym roku z życiem, albo przynajmniej z dobrą dolą; czyja się przyjmie, temu wszystko dobre przyjmie się; to zwyczaj starodawny, co rok w dniu ściecia św. Jana powtarzany, a zwyczaj zachować trzeba, bo to żywa kronika przeszłości.

Tłumnie, z uśmiechem na ustach, z pogodą w sercu, biegła ochocza młodzież, wyśpiewując piosnki; rzeźki chłopak, rumiany jak jagoda wiódł za rękę płonąca od wdzięków i radości dziewczynę i szeptał jej w ucho: nasze gałązki się przyjmą, ty będziesz moją; a ona niby odwracała się od niego, a słuchała tych słów nie tylko uchem ale i sercem, i modliła się w duszy, aby się gałązki przyjęły.

Po błoniu szerokim pasem stary Wieprz wije węzowate łożysko, i pilnuje murów dawnego grodu jak piastunka dziecięcia, i szepce mu do ucha pamięć o dawnych czasach, wspomnienie o wielkim mężu, co pokazał obcym, że po koronę nie sięga się zbrojną rękawicą, i że ją tylko dobra wola dać może. To jego ulubiona dumka, o niej jego fale wciąż gwarzą, i gwarzyć będą dalekim pokoleniom.

Dwaj kamraci szli ulicą ku rzece, czy także sadzić gałązki? ale nie dla nich już zapewne te swobodne zabawy lat niewinnych, z nich czas zdjął już tę anielską sukienkę, w której wszystko po anielsku wygląda. Oni

szli po nad rzeką, aż tam gdzie o jej krawędź opierał się ogród zamkowy. Przyszli pod parkan, kulawy człowiek rozsunał nie szparko spojone dyle, poczem obadwa przyklękli i patrzyli wewnątrz ogrodu.

Na zielonej ławeczce z darni, pod cienistym kasztanem siedziała zachwycającej urody niewiasta, a u nóg jej klęczał młodzieniec w czarnem zupełnie odzieniu.

— Elżbieto, mówił jej, szczęście moje jest niepojęte, ale ty nie wiesz w czyje serce rzuciłaś może niebacznie wymówione słowa; jam biedny, urodziłem się pod słomianą strzechą, i nic prócz szczerzej, pierwszej miłości dać ci nie mogę; a ty, dziecię dostatków, do ciebie świat wyciąga dłonie obciążone herbami i bogactwem; nie, ty mnie zwodzisz, a jam próżny, szalony, że wierzę w ten odbłysek szczęścia, który może za chwilę zgaśnie, i w ciężkiej pograży mię rozpaczy.

— O jakis ty nie dobry Maksymianie, nie ufasz słowom kobiety, która jak kwiat spieczony skwarem świata, wyglądała czystej ożywiającej miłości. Dla mnie herby i bogactwa, to nic, posiadam je, a czy zapewniły mi szczęście, czy przyniosły choć jedną chwilę zadowolenia?...; której tak żądałam jak spragniony napoju. Pójdź tu mój drogi, niech cię przycisnę do serca, może jego bicie wleje większą ufność w słowa pragnącej kochać kobiety!

Młodzieniec rzucił się w jej objęcia, i wkrótce spoili się ich usta, a serca przemówiły wyraźniej.



— Widzisz? zaskrzeczał kulawy.

— Widzę.

— A poznałeś go?

— Nie.

— Kłamiesz bratku, pan Adam nie wysłał by takiego dudka co ludzi nie poznaje.

— Przecież ja całego świata znać nie mogę.

— Ależ cały świat nie zaleca się do naszej pani.

— Ej kto wie, wasza pani to musi mieć serce tak obszerne jak Krakowska gospoda pod Zającem; co dzień to inny gość się jawi.

Franciszek, gdyż to on był, kiwnął głową, jak by chciał powiedzieć: prawda, a potem dodał:

— Kiedy wasze nie znasz, to i ja go nie znam.

— Ha, to nie będziem znać obadwa, odpowiedział filuternie szlachcic, i jak by nie chcąc patrzeć co się dalej w ogrodzie działo, zsunął dyle i podniósł się.

— Czy już wyszli?

— Już.

— A jakże dalej będzie?

— Po staremu, ja pójdę w swoją drogę, a ty w swoją.

— Idź na złamanie karku, stary lisie, zawołał Franciszek głośniejszym głosem, patrząc za odchodzącym; oszukałeś mnie po frantosku, ale do czasu dzban wodę nosi.

Szlachcic nic nie odpowiedział, nie obejrzał się, i idąc prosto ku przedmiejskim chatom, mruzczał pod nosem, patrzaj go, goliasek, chołota lezie na senatorską



grzędę, ale nie dla psa kiełbasa, nauczymy szerepetkę winnego pańskim progom respektu, patrzaj go, jemu mówić o miłości?... i tak wciąż pomrukując zniknął między przedmiejskimi domkami.

.....

W bogato przybranej komnacie Krakowskiego zamku, siedział Marek Sobieski z Pilaszkowic, Starosta Kraśnostawski, i czytał uniwersał poborowy. Na pogodnym czole przewijał się wyraz powagi, a twarz miła i ujmująca jaśniała odbiciem czystej duszy.

Wtem przerwano mu zatrudnienie, i oznajmiono przybyłego gońca z pod Zborowa. Starosta rzucił uniwersał i wybiegł na jego spotkanie.

Gońcem tym był młodzieniec, któregośmy widzieli w ogrodzie. Starosta uścisnął go serdecznie, i z pospiechem odebrał list, pokojową pieczęcią królewską opieczętowany.

Jak doszedł do wyrazów: przy pomocy Bożej wygraliśmy bitwę, położył list, pobiegł do klęcznika, który stał przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, rzucił się na kolana i głosem pełnym rozrzewnienia zawołał: O panie! niech będzie wysławione imię twoje!

Młodzieniec nie mógł powściągnąć wzruszenia. Poczciwy starzec, przyszedłszy cokolwiek do siebie, zaczął go ścisnąć, całować, nie mógł mu miejsca dobrać, a wciąż powtarzał: wygrali! dali się im we znaki, tyś to

panie sprawił, dzięki ci nieskończone!.. gdy i te chwile minęły, zaczęły się wypytywania; młodzieniec musiał mu opowiedzieć: położenie obu wojsk, porządek starcia, liczbę nieprzyjaciół, wyliczyć poległych, rannych, odznaczonych męztwem, a każdego z imienia i nazwiska, jakby chciał zapisać dla nich w sercu swoim szczerą chęć, dla przekazania jej swoim dzieciom i wnukom, na wzór cnoty i powinności. W końcu, kiedy Starosta zapytał młodzieńca o jego wojenne czyny, on nie odpowiedział i spuścił oczy w ziemię. Starzec przywykły cenić szlachetną skromność, nie pytał więcej, choć był pewnym, że dzielny młodzieniec znakomite ponieść musiał usługi.

Niebawem wieść rozniosła się po mieście, i zeszli się Burmistrz, Rajcy i Ławnicy; zastawiono sutą wieczerzę, Starosta kazał wydobyć trzydziestoletniego węgryna, a kiedy kwartowym puharem spełniono wiewat Zbarażskiej wyprawy, w gorejący na kominie ogień rzucił kosztowny Słucki pas, za który we Lwowie pięćdziesiąt dukatów zapłacił, i wszyscy poszli za jego przykładem, rzucając czem kto był przepasany, bodaj i kilkogroszową taśmą, aby ze szczerzej ochoty.

Po wieczerzy, gdy się już wszyscy rozeszli, młodzieniec ściskając czule Starostę rzekł:

— Mam jeszcze jedno zlecenie królewskie.

— Jakie?

— Pani Radziejowska jest jeszcze w domu Starosty?

— Jest.

— Król życzy sobie, aby wróciła do Warszawy.

— Zgoda.

— Ale czy bezpiecznie?

— Ej mospanku, wiem przecież o co chodzi, a zęby się na tem zjadło, bo i stary nie zawsze panie był starym, płatało się djabelne figle. Kiedy byłem w regimencie pana Koniecpolskiego to tak zapaliłem się do buziaczka panny Stolnikównej Wołyńskiej, że o małym nie oszalał, a tu stary jej ojciec, maruda, kazał czekać i czekać aż tym czasem nieboga umarła.

— I pan Starosta z inną się ożenił?

— Ożeniłem się, mam żonę dobrą, kochaną, a przecież owa miłość dotąd mi jeszcze w sercu siedzi, i wciąż mi szepce do ucha: pamiętaj o Joasi, ona cię tak kochała!

Starzec westchnął boleśnie i zamilkł, młodzieniec zapytał go po chwili.

— Kiedyż pan Starosta zamysła odesłać panią Podkanclerzynę?

— Jutro mospanku jadę z całym dworem do Pilaszkowic, ztamtąd odwiozę ją do Lublina; ale dalej nie pozwalają mi ważne bardzo sprawy.

— Od Lublina to już ja będę strzedz jej podróży.

— Zgoda; jedź nawet ze mną do Pilaszkowic.

— Nie mogę, muszę zawieść kólewskie rozkazy do Lublina.



— A to spiesz panie bracie, niech i oni pocieszą się dobrą wieścią; teraz zaś odpocznij po drodze. I uściśnawszy go serdecznie wskazał przeznaczoną mu komnatę.

.....

W małym domku na przedmieściu jeszcze sen nie gościł; na niskim kominie leżały mokre drewka dębowe, i ciągłym syczeniem swarzyły się z ogniem, zrumienioną ciecżą zalewając mu oczy, i kłębiastym dymem przytłumiając błyskające gdzie niegdzie płomyki.

Na ławie, koło komina, siedział jakiś podróżny w porządnem, a nawet rzecz można trochę do bogatego zbliżonem odzieniu, i rozmawiając z gospodarzem często spoglądał w okno, jakby się kogo spodziewał.

Dym naciśnięty wiatrem, buchnął kłębami na izbę, a szlachcic odsuwając się rzekł:

— Djabeł weź taką lichą mieścinę, człowiek jak kiełbasa musi się w dymie wędzić.

— A czemuż Wielmożny pan nie zajechał do zamku, albo do Lubelskiej gospody?

Szlachcic chciał odpowiedzieć, gdy w tem drzwi zakrzypnęły i wszedł ten sam, co z Franciszkiem przez szpary parkanu do ogrodu zamkowego zaglądał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, odpowiedział gospodarz.

— No i cóż? zapytał skwapliwie szlachcic.

— Cóż ma być, jest tak jak ludzie mówili.

— I to on?

— On!...

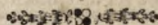
Na te słowa szlachcic porwał się z ławy, wziął pod rękę przybyłego i wyszli na podwórze.

Gospodarz przyłożył ucho do drobnych szybek okna, ale nic nie było słyhać prócz oderwanych słów: Podkanclerzyna, pan Adam, i on.... Po półgodzinnej rozmowie, szlachcic kazał dać sobie konia i odjechał, a ów ciekawy towarzysz Franciszka wrócił do izby, i na przygotowanem posłaniu ze świeżego siana układał się na spoczynek.

.....

Jak tylko ranek zaświtał, na zamkowym podwórzu wszczął się wielki rozruch. Rajcy i ławnicy przyszli po rozkazy, bo pan Starosta wyjeżdża do Pilaszkowic, swej majątności, i już zatoczono kolasy, pakując wnie tłomoki i tłomoczki. Niebawem wszystko było gotowe, jedni napełnili podwórze, oczekując tylko kobiet, które, jak zwykle, czwaniły się z wybiorem, bo pan Starosta to był gotów w każdej chwili, i jak żyje nie gramolił się nigdy do kolasy; siwy konik to dla niego kolasa i dobra i wygodna. Wyszły wreszcie niewiasty, a jest ich sporo, jedna osłonięta jak w zimie, siadły; woźnica drogę przeżegnał, i popędził konie drogą ku przedmieściom.

Na boku stał młodzieniec, i patrzył na niewiasty wsiadające w kolasy, patrzył i dojrzał jak osłonięta pani mignęła od buzi zgrabną rączką, i odpowiedział jej ukłonem; widać zrozumieli się wzajemnie, bo gdzie tylko serce się wmiesza, tam najłatwiejsze rozumienie.





## IX.



Lublinie, koło Krakowskiej bramy, nad wrotami dwu-piętrowej kamienicy, umieszczona była tablica z wymalowanem siodłem, i napisem zaledwo dla różnej formy liter czytelnym: »gospoda pod siodełkiem.»

W jednej z dolnych izb tej gospody przechadzał się znany nam młodzieniec, który sprawiwszy się z posłannictwa oczekiwał przybycia pana Starosty Krasnostawskiego.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca bawiły się z kopułą Krakowskiej bramy, jakby na pożegnanie ostatnim pocałunkiem muskając dumne jej czoło. W kościołach dzwoniło na Anioł pański, pobożne matrony

i siwo-włosi starcy spieszyli do otwartych świątyn, młodzież biegła szukać zabawek za miastem, na zielone brzegi Bystrzycy, przekupki składały rozstawione stragany, włóczęgi deptali ulice, patrząc z którego kominu gęściejszy dym wychodzi, obszarpane żydy szwargotali po kątach, obliczając całodzienne zyski, a panowie Rajcy, ławnicy i znakomitsi mieszczanie, stanęli do Wójtowskiej gospody, pogwarzyć o nowym zjeździe, do Lublina wyznaczonym od Króla Jegomości w obozie pod Zborowem, dla ułożenia zapłaty wojskom użytym w tej potrzebie.

A Lublin, który w owym czasie, nie przewidywał tyle klęsk, jakie go później spotkały, pysznił się tym ruchem mijających się wzajemnie ludzi, i ukazując z pomiędzy piętrzących się domostw jaśniejące świetnością wieże licznych kościołów, zdał się przemawiać słowami starca cieszącego się ze swojej czerstwości.

Później, kiedy w r. 1652 srogie powietrze wymiotło prawie połowę ludności, kiedy w sześć lat potem ogień pochłonął trzecią część domów, kiedy Szwedzi kilkokrotnie go nawidzili, pusty, posępny, zawalony gruzami, z zezerniałem od klęsk obliczem, stał jak szkielec na postrach ludziom zostawiony.

.....

Młodzieniec usiadł przy oknie wychodzącem na ulicę i patrzył na ten ruch miejski, tak dziwnie wydający

się przywykłemu do ciszy wiejskiej, na szarzejące coraz bardziej od zmierzchu przedmioty, i bawił się myślami, przez które często widać przebiegały smutne jakieś widziadła, bo ślad ich zawsze zostawał na bladej twarzy, i długo ustąpić z niej nie chciał.

Zajęty temi myślami nie uważał, że ktoś wszedł do izby, i dopiero wtenczas ocknął się z zadziwienia, gdy przybyły ujął go za rękę i zawołał:

— Maxymianie!

— A! to wy ojcie Serbinowiczu, odrzekł przychodząc do siebie i powstając ze stołka.

— Ja, i prawda, że gość niespodziany.

— Bynajmniej.

— No to dobrze, gotowość w przyjęciu nigdy nie zawadzi. I gdzieżeś bywał Maksymianie?

— Spełniałem wasze rozkazy.

— Niech kłamstwo ust twoich nie plami, mówi rozdział dziewiąty księgi pierwszej, bo kiedy raz nim usta zmażesz, to cuchnąć będzie od ciebie całe życie. I starzec mówiąc te słowa wlepił bystry wzrok w twarz młodzieńca, jakby nie chciał stracić żadnego wrażenia, jakie one na nim wywołają.

— Ale rozdział piąty księgi drugiej powiada: Nie żądaj od bliźniego twego ofiary, jeżeli do tej ofiary serce jego nie w chęci, odrzekł spokojnie młodzieniec nie ułaskiwszy się badawczego spojrzenia.

I przez kilka chwil trwało milczenie.



— Lepiej mieć stu jawnych nieprzyjaciół, niż jednego ukrytego, zawołał wreszcie starzec trzęsąc się ze złości; błogosławić więc będę chwilę, która zdarła maskę z twej twarzy; a ty złorzeczyć jej kiedyś będziesz, ty przeklniesz kiedyś ten dzień, który cię powołał do życia, to słońce, które wówczas świeciło, tych ludzi, którzy się cieszyli z urodzenia twojego.

— Ojczy, ja już z łaski waszej splamiłem usta przekleństwem, które mi kiedyś obiecujesz, ja już doznałem wielu cierpień, i bądź pewny, że gróźb się nie ułękne.

— Zobaczymy, czas silnych zmienia w słabych, a słabych w silnych, przypomnę ci te słowa, kiedy na klęczkach, zalany łzami, błagać będziesz litości, a teraz brnij dalej niewdzięczniku! i zwrócił się ku drzwiom, ale jakby przypomniawszy sobie coś jeszcze, wrócił, i ujmując rękę młodzieńca dodał:

— Nie wyjdę, póki nie spróbuje jeszcze twego serca! Maksymianie znasz swoją przeszłość, przypomnij ją sobie; tłumy Tatarów otoczyły waszą chatę, ojciec padł pod ich ciosami, matkę zabrano w jasyr, chatę podpalone, ty leżałeś w kolebce, byłbyś zginął w płomieniach, nieznana ręka wyniosła cię, wykarmiła, prowadziła twe niemowlęce kroki, i rozprzestrzeniła twój umysł światłem.... a tą ręką, była ta ręka, którą ty teraz odpychasz. Synu mój, ja boleję nad twoją przyszłością, i pragnę twego upamiętania. O powrót, powrót na dro-

gę powinności, nie rozdieraj mojego serca, nie żądaj, abym spełnił to, o czem bez wzdrygnięcia pomyśleć nie mogę.

Młodzieniec przycisnął rękę do serca, jakby nie chciał puścić wzruszenia, jakie go mimowolnie oblegało i odrzekł:

— Wywołałeś ojciec moją przeszłość, posłuchaj więc tego co dotąd więziłem w głębi duszy. Ocaliłeś mi życie na to, aby zagarnąć majątek i sierotę bez imienia poświęcić swoim zamiarom. Ty mi mówisz, że urodziłem się w jakiejś nieznannej chatce, z ubogich i nieznanych rodziców, a ludzie mówią, że imię ojca mego znane było od Bohu po Dźwinę i Wisłę, że włości jego w jednym dniu nie przejechał. Ty powiadasz, żeś mnie wyratował z płonącej chatki, a wieść niesie, żeś mię wziął z domu stryja, który chciał pościć majątek sieroty, a który jako wasz miał prawo żądać takiej usługi. Zważ teraz ojciec czy można odwoływać się do mego serca?

Starzec zmieszał się widocznie, chcąc jednak to pokryć zawołał:

— Widzę, że nie ma rady; zły duch poszepnął ci kłamliwe wieści, świadczę się więc Bogiem, że używałem wszelkich środków, aby wstrzymać gromy wiszące nad twoją głową, i odchodzę!

— Idź ojciec, bo z nami już wieczny rozbrat na tym świecie, a na tamtym upomnę się o krzywdę, jaką mi wyrządziłeś.

Starzec wyszedł trzasnąwszy drzwiami, jak by nie chcąc słyszeć tych ostatnich wyrazów, a młodzieniec spuścił rygle i znów usiadł przy oknie.

.....

Przed pałacem Sobieskich stała kolasa, i służba zdejmowała z niej tłumoczki i różne kobiece rupiecie. Woźnica chodząc koło koni głaskał je, jakby dziękował za to, że się dobrze w drodze sprawiły; gdy ktoś ujął go za ramię.

Był to ten sam starzec, któregośmy w gospodzie pod siodełkiem widzieli.

— A co jegomość powie? zapytał woźnica uchylając czapki.

— Mój człowieku, ja tu jestem obcy w tem mieście, i nie wiem gdzie najlepsza gospoda.

— A... tać tu jest dosyć; na Grodzkiej u Michałka, w Rynku u Wikłasa, pod siodełkiem u wdowy Machnickiej, i innych podlejszych co nie miara.

— A nie mógłbyś mię zaprowadzić?

— Przecież jegomość widzi, że pilnuję koni.

— To wy tu w gościnę przyjechali?

— Podobno.

— A z daleka?

— Z Pilaszkowic.

— Pan Starosta Krasnostawski!... poczciwy, kochany pan Marek; czy sam tylko?



— A gdzieżby on sam tarosił się z tuzinem tłomoków i tłomoczków, aż się szkapaska zmęczyły dzwigając te babskie bety.

— Więc i żonę przywiózł Starosta?

— Gdybyć to tylko panią, to by jeszcze pół biedy, alec to tam i jakąś jejmość, co to pokłóciła się z mężem, i osłania się teraz jak mniszka.

— Gdzież wy ją wieziecie?

— A któż tam wie mój jegomość, co panowie myślą z nią robić, żeby choć nie przyszło wieźć dalej, bo gniany na nic by się zmarnował. Starzec się uśmiechnął, i po chwili rzekł:

— No, kiedy nie chcesz mię zaprowadzić do gospody, to kłaniajże się odemnie panu Starościu.

— A kiedy nie wiem jak się jegomość zowie.

— On sobie mnie przypomni. Bądź zdrow.

— Idź jegomość z Bogiem i tylko spytaj się na Grodzkiej u Michałka, to wnet pokażą gospodę, do której aż miło zajechać, bo tam i uczciwie usłużą i sumienne myto położą.

Gdy woźnica wyliczał wszystkie przymioty gospody Michałka, stary już był daleko, i dążył wprost ku Złotej ulicy, gdzie koło kościoła OO. Dominikanów stała kamieniczka zwana powszechnie Rakowską, dla tego, że służyła za gospodę wszystkim z Rakowa do Lublina przybywającym.

W godzinę z kamienicy Rakowskiej wypadł jeździec na karym koniu, i cwałem popędził Warszawskim gościńcem.

.....

Na drugi dzień po opisanych zdarzeniach drogą z Góry do Piaseczna jechały dwie czterokonne kolasy. Ten sam woźnica, który tak się obawiał dalszej podróży, aby nie zmizerować gniadego, wywijał nad nim biczem, zachęcając do skorszego biegu. Ale gniady i reszta jego towarzyszy szły powoli, bo kolasa po kłódki grzęzła w piasku, i stary Maciej ile razy spojrzął na przesypujące się czyste jego warstwy i przypomniał sobie z jaką pracą wypieszczoną przez niego gniado-sze ciągnąć muszą kolasę, tyle razy przeklął wszystkie niewiasty, którym się zachciewa jeździć prędko po piasku.

Słońce nie dawno zeszło, ale mu także widać nie wesoło, bo tylko bledziutkie rzuca w koło spojrzenia. Wszystko w bożym świecie zleniwiło, wiatr zachodni ciągnie za sobą szare chmury, ale i one tak powoli się wloką, jakby im także piasek zasypał drogę. Smutny dzień, a w takim dniu i serca ludzkie nie mogą odetchnąć swobodnie.

W pierwszej kolasie jechała ta sama zasłonięta pani, którąśmy widzieli w Krasnymstawie, i tuliła się w kącie kolasy za swoją towarzyszkę, jakby lękała się ptasząt,

które jedne tylko uwijały się do koła. Towarzyszka jej, podeszła matrona, trzymała w ręku hebanowy różaniec, przesuając zdrowaśki, odmawiała koronkę do Przemienienia Pańskiego. Koło kolasy na dzielnym koniu jechał znany nam młodzieniec, i kiedy koń czasem zrównał się z kolasą, a spojrzenie zbiegło się ze spojrzeniem niewiasty, to z twarzy jego umykała zwyczajna bladość, i oczy gorzały płomieniem. W drugiej kolasie upakowane były kufry i tłumoki, strzeżone przez służbę, która mieściła się między niemi, a za kolasą jechało dziesięciu konnych, na prędcie uzbrojonych, i dla bezpieczeństwa dodanych pacholków.

Wjechali w las, do Piaseczna już nie daleko, ale las stał się coraz gęściejszy; stuletnie sosny rozłożystymi konary formowały sklepienie nad drogą wijącą się między niemi. Ponurą ciszę przerywały tylko krakania zwołujących się wron, gdy w tem dał się słyszeć z przeciwległej strony tentent pędzących ewałem jeźdźców, i nim jadący zwrócili na to uwagę, ujrzeli się otoczonemi z wszystkich stron od licznej czerechy zbrojnych ludzi, któremi dowodził jakiś rycerz, cały, nawet z twarzą, zbroją okryty.

Zaledwie skinął, zatrzymano kolasy bo z woźnicą nie wiele było do roboty, on rad był nawet, że konie trochę wypoczną, nie zważał, że pani kryjąc się w głębi, krzyczała z całej siły: prędezej! prędezej! a stara matrona, jak by wtórując jej, wzywała już ratunku.



Młodzieniec spał konia ostrogą, dał znać pachołkom, aby gotowi byli do obrony, i stanąwszy przed zakrytym jeźdźcem, zapytał o powód tej napaści.

— Z cudzego konia na środku drogi zsiadaj, a od cudzej żony w każdym czasie uciekaj, powiada przysłowie, krzyknął nieznajomy, a ty śmiałku śmiesz jeszcze pytać o napaść, ja jestem Radziejowski!

— Ktokolwiek bądź jesteś, nie zastraszysz mię groźbą, odpowiedział młodzieniec, a zbliżając się do tych, którzy trzymali konie i dobywając szabli, krzyknął: puszczaj!

Zaledwie domówił tych słów, gdy strzał się rozległ, i kula strzaskała mu ramię; krew bryznęła z pod sukni, zachwiał się i spadł z konia. Widząc to pachołki, drapnęli, każdy w swoją stronę, nawet i służba się rozbiegła; zostały tylko dwie niewiasty, ranny młodzieniec, tłum zbrojnych i Maciej woźnica, który nie chciał rozstać się ze swemi gniadoszami.

Radziejowski podjechał ku kolasie, uchylił przyłbicę, i twarz płomieniejącą piekielną radością i szyderstwem ukazał płaczącej rzewnie niewieście.

— Witam was czcigodna małżonko, zawołał piorunującym głosem, a potem urągliwie dodał: ale nie tu miejsce powitaniom, miłość nasza zbyt serdeczna, a ob rachunek zbyt długi, do Radziejowic! Po chwili zaś, jakby namyśliwszy się rzekł: do Warszawy, a tego młodzika do Radziejowic!

Wykonano spiesznie rozkazy, rannego umieszczono w drugiej kolasie, i w pół godziny droga znów była pusta, tylko piasek krwią zboczony obsiadły kruki, i po lesie słyhać było zwoływanie się rozpierzchłej w ucieczce służby.

.....

Kulawy Franciszek, który najpierwszy drapnął, wziąwszy jak to mówią nogi za pas, zmykał aż się za nim kurzyło. Minął las, potem przez pola, łąki i zarośla nie szukając drogi trafił przecie jakoś na szeroki gościniec, lecz choć to bywalec, nie zjednego pieca chleb kosztował, tak mu się pomąciło w głowie, że nie wiedział w którą pójść stronę. Staął, aby się kogo zapytać, gdy właśnie w porę zdarzył się chłopiec, który przechodząc, uchylił czapki i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków; a dokąd idzie ten gościniec, gospodarzu?

— Do Czarska, Wielmożny panie.

— Czy daleko ztąd?

— Milka nie wielka.

— Czy ztamtąd idziecie?

— Ztamtąd, i żeby Wielmożny pan wiedział, cały Czarsk aż się trzęsie, taki tam rwetes, mówią, że zjechał jakiś wielki pan ze swoim dworem, i żydziska mało nie oszaleją z radości.

— A nie wiecie jak się ten pan nazywa?

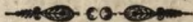
— Nazwiska nie wiem, ale on podobno z Białobrzeg.

— Pan Adam! lecę co tchu, on naszą panię wydrze temu rozbójnikowi.

I zbierając resztę sił puścił się wskazaną drogą, zostawiając chłopka rozmyślającego, kto to jest ten pan Adam, co ma wydrzeć panią rozbójnikom.

.....

Gdy to się dzieje, Jan Kazimierz po zawartej z nieprzyjaciółmi ugodzie, wraca do Warszawy, jak zwycięzca, jak nieodrodny potomek Jagiellonów. A lud cieszy się uciechą dobrych dzieci, wyległ pomostem ku Pradze i wznosząc w górę ręce, woła serdecznym głosem: niech żyje Jan Kazimierz, Król i Ojciec narodu!!





## X.

**W** okolicach Sandomierza stoi miasteczko Raków, a stoi na uboczu, żaden liczniej uczęszczany gościniec nie łączy go z znaczniejszemi miastami, pusto, ubogo; obdarte żydy włóczą się po uliczkach, obsadzonych dwoma rzędami wkleśłych w ziemię, lub pochyłonych domków; mieszczanie nie zatrudniają się rzemiosłami, nie uprawiają skrzętnie własnych zagonów, ale frymarczą po jarmarkach, a jak im czasu zbędzie, to dalej pod gąskę lub konika rozprawiać o tem co to dawniej było, i topić biedę w smacznem piwku, albo w czystej żytniance.

Bo też dawniej, inaczej bywało w Rakowie! Raków około roku 1610 bardzo spoglądał ku Warszawie, a i

innym znaczniejszym miastom nie bardzo ustąpił z drogi; mieszcząc w sobie to wszystko, co tylko wzrost i dobry byt zapewnić może, gdyż nie na próżno był polskimi Atenami nazwany.

Teraz bryczka sąsiedniego szlachcica, jadącego zbyć kilka korcy pszenicy dziw dla mieszkańców Rakowa, a dawniej nie można się było rozminąć z poczwórnymi i poszóstnemi kolasami panów Senatorów, którzy Bóg wie z kąd zjeżdżali się do Rakowa, aby w tem ognisku nowych wyobrażeń upiec swoje zamiary; bo Raków, stolica zwolenników nauk Fausta Socyna, z której rozchodziło się po całej Polsce tysiące dzieł i wychodziło tysiące młodzieży, napojonej nowemi zasadami, nęcił wszystkich, i wszystkim jak mógł dogadzał.

W tem to mieście, na wzgórzu, stał stary zamek, jedyny zabytek dawnych czasów, szanowany przez zwolenników nowości zapewne nie dla pamiątki, ale dla obronnego położenia, i przed ten to zamek około północy, wśród ulewnego deszczu, zajechała osłonięta bryka, którą przez bramę za hasłem zaraz puszczone. Na spotkanie przybyłych wyszło z zamku dwóch ludzi, jeden niósł latarkę, a drugi pęk kluczy, zbliżyli się do bryki, i pomogli wysiąść z niej młodzieńcowi, którego ręka zawieszona była na białej chustce, i który zapewne musiał być chory, bo przy świetle latarni twarz jego mężka i pełna powagi nadzwyczaj wydała się bladą.

— Pójdziemy! wyrzekł trzymający latarkę, i mło-

dzieniec nie odpowiedziałszy ani słowa, udał się za nim; przyszedli pod narożną basztę, drzwi były otwarte, weszli więc zaraz na kręte schodki i szli wciąż w górę, aż do małych ale mocno okutych drzwi; przewodnik otworzył je, i wskazując ciemną izdebkę z nędznem w jednym jej rogu pościaniem, rzekł:

— Nieobszerne, ale bezpieczne mieszkanie.

Młodzieniec spojrział mu w twarz wzgardliwie, i wszedł; a ów uprzejmy gospodarz zamknął drzwi na dwa spusty, spróbował kilka razy, jak by sobie nie dowierzał, zszedł na dół, bryka odjechała, i głęboką ciszę przerywał tylko plusk deszczu, szum wiatru, i westchnienia młodzieńca, który rzuciwszy się na pościanie, mimo zbytecznego utrudzenia nie mógł snu przywołać na narzękłe powieki.

.....

Już ponura zima zaczęła zaglądać swoim chłodnem spojrzeniem, kiedy do Rakowa przyjechał Serbinowicz.

Jakiś ważny interes musiał go sprowadzić, bo zaraz zwołano się na obrady, i te do późna w noc zajęły zgromadzonych braci.

Gdy miano się rozchodzić, Serbinowicz zapytał:

— A jakże więzień?

— Niepoprawny, i nie ma żadnej nadziei, żeby on do nas powrócił; serce jego głuche jest na wszelkie



przedstawienia, a ciało odrętwiało na boleści; z takim człowiekiem to nie ma rady.

— Ale jakież by to był pożytek, gdyby tak silną wolę dla nas pozyskać.

— Trudno bracie, tacy ludzie się nie zachwieją, wszelkie starania są próżne.

— Przykre położenie.

— Nierównie będzie przykrzejsze, gdy pomyślemy, że ten człowiek może być kiedyś powodem naszej zguby; dla niego nic tajemem nie było, on bywał na naszych obradach, a teraz pała nienawiścią. Jedna chwila fatalnego zrzędzenia, która go powróci światu, będzie zadatkiem strasznej przyszłości, a na niej spoczywa tyle zamiarów, a okupiło ją tyle ofiar!!

Serbinowicz oparł głowę na rękę, i po długim namyśle odpowiedział.

— Jeszcze ja z nim pomówię, a jeżeli nie pomogą słowa, wtedy....

— Nie kończ bracie, zrozumiałem cię, i zupełnie na twój sąd się zgadzam, ale myśl niech zostanie myślą, bez potrzeby nie odziewajmy jej w słowa.

Starzec skinął ręką, i spóźniona pora powołała wszystkich na spoczynek.

.....

Zimny wiatr dął z północy, pędząc przed sobą mróz, który w silne objęcia ścisnął wilgotną nie dawno zie-

mię, chcąc ludziom przypomnieć, że 4 grudnia bez grudy obejść się nie może.

Słońce od rana nie spojrzęło ku ziemi, jakby zagniewane na świat nagi, obdarty z wzorzystej sukienki, potrząśnięty drobnymi płatkami śniegu, które tak wyglądały jak ozdoby na żałobnym całunie: świecą one w oczy, ale tylko smutkiem wieją na serca, jakby mu niemiło było spojrzeć na stada czarnego ptastwa, obśiadającego bezlistne gałęzie drzew, i napełniającego powietrze złowróżbym swoim krzykiem, jakby wreszcie wstydzilo się tego, że swoim bładem spojrzeniem nie może przywołać obumarłego życia!

Jednak pomimo dokuczającego zimna, po zamkowym tarasie chodziło dwóch ludzi: jeden starzec niski ale dość pokaźny, drugi wysoki, sztywny, rzucający się w różne strony na każde skinienie starca, jakby w takt jego słowom.

Po chwili starzec dobył dwa klucze, wskazał na basztę, i obejrzawszy się, czy go kto nie słucha, wyrzekł półgłosem kilka słów, i oddał klucze usłużnemu dworakowi, a on raz jeszcze pokłonił się, coś także cicho odpowiedział, i odszedł niby ku zamkowi, ale potem obrócił się i poszedł ścieżką do miasta wiodącą.

.....

Koło drogi od zamku do miasteczka wiodącej, stała karczma, a w niej żyd Josiel szynkował gorzałką i mio-

dem. Żyd usłużny, umiejący zachwalić swój trunek, to też tam zawsze ani się precisnąć między ochotnikami do szklanicy.

I w dniu 4 grudnia nie zabrakło gości Josielowi; koło długiego stołu, który stał na pierwszym miejscu, bo pod oknami, siedziało kilkunastu zaściankowej szlachty, zapijając nową biedę starym miódkiem i opowiadając sobie różne wojenne i sejmikowe przygody, przy których nieraz o mało nie przyszło do bójki, bo każdy nie dał narzec złego słówka o swoim mandacie, a wygadywał co tylko w usta się zmieściło na jego przeciwnika. Dalej nieco zasiedli mieszczanie, mówiąc półgębkiem, aby nie obruszyć na siebie zaściankowych zawadyków, bo wtedy biedaby była z uszami; w kątach pojedynczo mieścili się podróżni, przy drzwiach jakiś serdeczny małżonek sprawiał imieniny żonie, i powtarzając:

Kto sieje tatarkę,  
Ma żonę Barbarkę;  
Krowami orze,  
Nie pytaj, czyś zdrów, ale jeśliś żyw nieboże.

za każdym wyrazem wybijał takt przysłowiu; a blisko pieca, koło alkierza, przy wielkim stoliku, siedział znany nam Ostap i ów giętki dworak, który niedawno przechadzał się po tarasie.

— No! do ciebie Ostapie, przemówił ten ostatni, i łyknął sporą szklanę gorzałki.

Ostap nic nie odrzekł, zwiesił głowę i dumał.



— A cóż to, nie odpowiesz?

— Cóż ja ci mam mówić? wam to zawsze język lata jak paprzyca, i chcecie, żeby każdemu tak się mełło.

— Czegożeś na biesa tak osowiał? czy cię dziewczyna oszukała?

— O! miałbym czego osowiać! dziewczyna dziś oszuka a jutro poszuka; mnie teraz w głowie co innego!

— Cóż przecie?

— Jakiś ty ciekawy! przecież to człowiekowi nie zawsze w sercu dobre siedzi.

— Łyknij-no Ostapku gorzałki, i powiedz.

Ostap zrobił co mu kazano, i znowu się zadumał.

— A cóż u licha! czyś zaniemiał?

— Ej, kiedy bo jak się co do głowy przyplącze, to tak po niej kołuje, jeździ, że aż człowiek mało nie oszałeje.

— Cóż ci tak jeździ? powiedz!

— Jabym może powiedział, ale się boję.

— Kogo?

— Ciebie!

— Tfu! przeggnaj się, odpędź czarta od siebie; cóż to, nie najedliśmy się już kaszy jedną łyżką?

— Ale bo to czasem djabeł nie śpi, a możebyś mię wydał, oho! bądź zdrów Ostapie, nie zobaczysz Ukrainy jak swego ucha.

Dworak palił się z ciekawości, nalał szklanke, wypił, i przysunąwszy się szepnął:

— Słuchaj, jeżeli chcesz, to ci krwią z serdecznego palca napiszę, że cię nie wydam, ale gadaj, bo mnie mało ognie nie spalą.

— Ej, kiedy bo to o pieniądze chodzi.

— A to tem bardziej; gadaj ty wole Ukraiński, bo mię do złości przyprowadzisz.

— I o człowieka.

— No?..

— Oto żeby go wyprawić na wieczerzę do raję, to-by grosza na całe życie wystarczyło.

— Kogo?

— A tego tam jakiegoś Szweda czy Tatara, co siedzi zamknięty w baszcie.

Dworak aż zachłysnął się gorzalką, gdy to usłyszał.

— A zkadże ty wiesz, że on tam siedzi?

— Wielkie rzeczy! czy to ludzie jedno wiedzą co im wiedzieć nie trzeba?

— No, mniejsza o to, ale gdzie u niego pieniądze! chudziak taki jak i my.

— Gadaj sobie; mój bratunek, co służy u tego panka w Radziejowicach, widział u niego sporą kiesę samych dukatów, ale szpak umie ją chować; zje licha, jeżeli znajdzie kto nie wie.

Dworak spojrzął z ukosa, i niby z ciekawości tylko zapytał:

— Gdzieby on ją mógł chować? przecież to kiesa nie szpilka.

— Aha! jakiś ty zuch dworuniu, chcesz mię na posład złapać; myślisz, że ja ci powiem gdzie on chowa pieniądz?

— O jakiś ty głupi! mnie to ani w głowie, bajki i kwita.

— Zapewne bajki, odrzekł Ostap, jakby chciał wyrazić: niech ci się tak zdaje; i znów się zamyślił.

A dworakowi świdrzyła w głowie ta wiadomość, nie mógł jej strawić i po chwili rzekł:

— Gdybym wiedział, że ty nie łżesz Ostapie, tobym ci także coś powiedział.

— O psi niedowiarku! dla czegożbym na wiatr puszczął to, za co najmniej mógłbym obaczyć się z postronkiem?

Ten argument przekonał trochę dworaka, nachylił się więc i mówił:

— Słuchaj! ten Szwed czy Turek, jak go tam nazywasz, wiele złego zrobił naszym panom, i dziś...

— Co? dziś?!... przerwał nagle Ostap, chwytając go za rękę.

— Dziś w nocy mam go wyprawić... no!.. już rozumiesz gdzie... przyjdź pod basztę, jak pierwszy kur zapieje, to poszukamy tej kiesy i podzielimy się uczciwie.

Szelma o uczciwości gada, pomyślał Ostap i dodał głośno:

— A nie oszukasz mię?

— Nie, jak mi Bóg miły.



— To ty miłujesz Boga?

— Czemużby nie?....

— Ha, niech i tak będzie! przyjdę.

— Pewno?

— Pewno.

— Pamiętaj, jak pierwszy kur zapieje.

— Nie bój się, Ostap nie zaśpi gruszek w popiele, ale na ochotę dobrzeby jeszcze łyknąć miodu.

— Zgoda, będzie czem jutro płacić.

— Ej, jeszcze i dziś się znajdzie.

— Żydzie! pół garnca dobrego lipcu!

Usłużny gospodarz nie polenił się w wypełnieniu rozkazu, i niezadługo lipiec szumiał już w szklani-  
cach, dodając serca gotującym się do nocnych sprawek  
biesiadnikom.

.....

Noc była ciemna, żadna gwiazda nie świeciła na nie-  
bie, a wiatr wył przeraźliwie, tłukąc się o nagie drzewa.

Choć kur jeszcze nie zapał, a Ostap chodził już ko-  
ło baszty, i szeptał coś, zapewne pacierz, jak z poje-  
dynczych słów wnosić można było.

Wreszcie dał się słyszeć jeden, potem kilka, a wre-  
szcie i kilkanaście kogucich głosów. Ostap pomacał  
czy ma przy boku szablę i przeżegnał się.

Z zamkowego podwórza mignął czarny cień i zbli-  
żał się ku baszcie.

— To on! mruknął Ostap. Najświętsza Matko! do-  
pomóż mi!

Czając się pod murem znany nam dworak, podszedł  
pod samą basztę, i już włożył klucz w zamek, kiedy spo-  
strzegł Ostapę.

— Czy to ty, Ostapie?

— Ja...

— No to dobrze.

— Dobrze, psi synu! wrzasnął Ostap, myślisz, że  
będziesz liczył pieniądze, poczekaj!...

I jak błyskawica mignął szablą krzyża nad jego gło-  
wą. Szabla zadzwoniła o twardą kość czaszki, mózg  
wysoko wybryznął, dworak jęknął okropnie, zatoczył  
się i upadł. Ostap wyrwał klucze z bezwładnej ręki,  
kopnął nogą drgającego jeszcze trupa, otworzył drzwi  
baszty i poszedł schodkami na górę.

Więzień jeszcze nie spał, bo z gasnących jego oczu  
oddalały sen, to bolesne, to czasem jak odbłysek słońca  
wśród chmur miłe, choć szybko umykające marzenia.  
Słyszał jakiś szmer pod basztą, i natężył uwagę, a gdy  
doszły do jego uszu kroki idącego na górę, polecił się  
Bogu, bo wiedząc z kim miał do czynienia, oddawna  
spodziewał się chwili, która przeciąć miała zasnu-  
te boleścią wątle pasmo jego życia.

Lecz zdziwił się bardzo, że jakaś niewprawna ręka  
otwierała zamki jego więzienia, stukając kluczem w  
różne miejsca, i nie wiedział co sądzić, gdy po kilku-

chwilowych usiłowaniach skrzypnęły wreszcie rygle, i znany mu dobrze głos zawołał:

— Panie Maksymie, ozwiczcie się!

— To ty? Ostapie.

— Ja, moje serdeńko.

— I po cóż tu przychodzisz?

— Wyprowadzić was na świat boży; alboż te szelmy nie namęczyły się was dosyć; chodźmy, chodźmy, a prędko!

— Poczciwy Ostapie! niech ci to Bóg nagrodzi.

— Czy mi już nie nagroził tem, że was widzę? O mój serdeczny panie, mnie bez was było tak tęszno, jak bez mego ojca i matki!

Młodzieniec rzucił mu się na szyję, a Ostap padł mu do nóg i długo nie dał się od nich oderwać, powtarzając: Serdeczny panie, ty mię chcesz ścisnąć jak brata, a ja Ukraiński poddańczuk, twój sługa; i łzy jak krople rosy padały na rękę młodzieńca.

— O Boże! zawołał on, czemuż to tak mało podobnych ludzi na świecie! i ocierając zwilżone łzami oczy, dodał: ale chodźmy, mój poczciwy, bo czegoś bardzo się lękam.

— Nie bójcie się panie, toć jeszcze tam w sercu jest trochę ochoty i w ręku siły, wyleciemy jak ptaszki z tego przeklętego gniazda, tylko ostrożnie po wschodach, bo lepiej iść po drabinie niż po nich.



— Już ja znam się z niemi trochę, ale podaj mi rękę, bom bardzo osłabł.

Ostap ujął silnie chwiejącego się młodzieńca, i tak zeszli na dół.

Maksymian wychodząc z baszty, zawadził o nogę trupa.

— Co to jest? zawołał cofając się.

— Nic, nic, nie bój się, to ten łotr, co was miał dzisiejszej nocy wyprawić do raju, a tymczasem sam się dostał do piekła; napoiłem bestyę miodem, ale on mu teraz aż przez wierzch łba wyłazi.

— Nie rozumiem cię, Ostapie.

— O! wielkie rzeczy, te Szwaby, czy jak ich tam zowiecie, kazali temu łajdakowi, aby was dzisiejszej nocy zamordował; ja podsłuchałem to z chrósciny tarasowej, i jak zacząłem durzyć Niemca, tak mi wszystko wyśpiewał, ofiarowałem się Matce Najświętszej, i jak pomacałem szelmę przez łeb, to ani ziepnął.

Młodzieniec ścisnął rękę, na której się opierał, i w duchu podziękował Bogu, że tak cudownie wybawił go od śmierci.

Wiatr wiał coraz mroźniejszy, chmury porzedniały, i księżyc nawet wyjrzał czasem, ale jakby od zimna osłonił się lisią czapką (1) i brodził w szarych mdlistych tumanach. Dwa cienie migwały w różnych zakątach, jakby przedrzeźniały księżycowi: to osłaniał je mur, to

---

(1) Haloanes, albo couronne lumineuse.

drzewa, to znów na chwilę pokazały się w załomku, i tak doszli aż do furtki, która za lekkim dotknięciem wypadła.

— Czy takie tu zamknięcia? zapytał Maksymian.

— Takie, gdy haki wprzód wyjęte.

Znów uściśnienie było odpowiedzią, i dwaj umykający przebyli mury zamkowe.

Długo jeszcze widać było dwa cienie, dążące przez łąki ku pobliskiej wiosce, aż wreszcie znikły, cichość grobowa zaległa, i tylko skrzypiące chorągiewki na dachach odpowiadały złowróbnym krzykom puszczyków.

.....

Zdała od wioski pod lasem stała chatka borowego. Małe okienka, wklęsłe w pochylone ściany, słabo przepuszczały światło, które z obszernego komina, nałożonego stosem suchych drew, doskonale oświecało i ogrzewało izdebkę, zastawioną różnemi ciesielskimi sprzętami.

Koło komina siedział Maksymian, a przed nim na zydelku stała misa z prażonem mlekiem, chleb świeży i ser przysmażany. Ostap zachęcał go, aby jadł więcej; czerstwy starzec, gospodarz chatki, zrzędził na czarnooką Kasię, że pewnie nie do smaku przyrzadziła gościowi wieczerzę; a młodzieniec uspokajał obudwóch, mówiąc, że więcej jeść nie może, bo i tak od dawna już nie jadł tyle.

— Lepiej powiedz mi, co słyhać na świecie, dodał obracając się do Ostapa.

— Żle, wojna, i wojna, ani słyhać o zgodzie.

— A Król?

— Król znowu sam nad wojskiem, mówią że ciągnie w nasze strony.

Maksymian chciał o coś jeszcze zapytać się, lecz nie wiedział jak zacząć, gdy Ostap uprzedził jego chęci.

— I krasna pani biedna.

— Widziałeś ją?

— Nie....

— A z kądże wiesz?

— Od ludzi, którzy wiedzą, co się dzieje w Warszawie.

Chmura smutku osłoniła bladą twarz młodzieńca, zamyślił się, i potem, jakby chcąc zapomnieć o tem co słyisał, zapytał:

— Powiedz mi Ostapie, jakim sposobem dowiedziałeś się o mnie?

— Ot tak: kiedy ten Holender (1), przy którym mię zostawiliście, odjechał do Lwowa, i ja z obozu powlokłem się za waszym śladem. Byłem w Krasnymstawie, w Pilaszkowicach, w Lublinie, wszędzie słyisałem tylko: był, a nigdzie znaleźć was nie mógłem. Smutno mi

---

(1) Tak zwano powszechnie Arciszewskiego, który poprzednio był w służbie holenderskiej.



się zrobiło, nie spałem, nie odpocząłem, tylko szedłem i szedłem. Aż przecie koło Czerska spotkałem tego kuterzoga Franciszka, on mi powiedział co się stało pod Piasecznem, pożałowałem was trochę, a potem powiedziałem sobie: żalem nie poradzisz Ostapie, weź nogi za pas i ruszaj do Radziejowic.

— A jakżeś się tam dostał?

— Łgało się co tylko wlażło i jakoś uwierzyli, a po tygodniu przyjęli nawet do służby, i gdym się dobrze sprawił, wysłali do Rakowa; reszta już wam wiadoma. Ale jakoś na świt się zabiera, pożywiliśmy się uczciwie, konie także nie głodne, ruszajmy w świat, bo im dalej, tem bezpieczniej.

— Prawdę mówisz Ostapie, że ztąd jeszcze zbyt blisko do Rakowskiego zamku, abym mógł spokojnie odpocząć; jedźmy! a obracając się do gospodarza, dodał:

— Teraz nic nie mam, nie mogę więc twojego przyjęcia pocziwy człowieku nagrodzić; ale może kiedy inaczej będzie.

— Jedźcie z Bogiem moj panie, ja nic od was nie żądam; stary Grzela dziesięcioma palcami zarobi sobie tyle, że mu wystarczy żyć uczciwie i poczęstować tego, co przez próg niskiej chaty przestąpi.

Gdy Grzela domawiając tych słów zegnał odchodzących ukłonem, czarne oczki Kasi biegły za Ostapem, i spotkały się z jego spojrzeniem.

Dziewczyna westchnęła, a Ostap pomyślał sobie: czemu ona nie Ukrainka!

Konie stały w stajence, dogryzając resztki obroku. Ostap pomógł Maksymianowi wsiąść, sam dziarsko wskoczył na swego, i ruszyli ku Warszawskiej drodze.

.....

I czas jak Ukraińskim biegunem dąży ku odkrywającej się coraz dalej przyszłości: za nim wspomnienia, przed nim nadzieje, obok miliony ludzi spieszą, gdzie? i po co?... trudne do odpowiedzi pytanie!

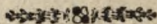
.....

W parę miesięcy odebrano w Warszawie wiadomość, że Jan Kazimierz pod Beresteczkiem pobił na głowę nieprzyjaciół, i że po zawartej ugodzie wraca do Warszawy, z sercem pełnem nadziei, iż zapewni krajowi pokój i swobodę. Obok Króla widziano często znanego nam młodzieńca; mówiono, że on wśród bitwy ocalał Królewskie życie, że przed bitwą jeździł do Tatarskiego obozu, ale po co, nikt nie mógł się domyślić; uważano tylko, że w czasie bitwy strzały tatarskie nie raziły nikogo, bo były bez dzirytów.

.....


Przed przybyciem Króla do Warszawy, dziwny stał się w niej wypadek. Pan Bogusław Służka, wuj pani

Radziejowskiej, na czele własnych i pana Kazanowskiego żołnierzy wpadł do Warszawy, opanował dworzec nieobecnego wówczas Podkanclerzego Radziejowskiego, uwolnił bratanek z zamknięcia, i obsadził swemi pałac Kazanowskiego, pierwszego męża pięknej Elżbiety. Było o tem wiele mowy, bo spodziewano się odwetu ze strony Podkanclerzego, który nie umiał puścić płazem podobnej, dumie jego wyrządzonej zniewagi.





## XI.

 wietne zwycięstwo pod Beresteczkiem nie ukorzyło zawziętego przeciwnika, nie szanował zawartych układów, i skrycie przygotowywał się do nowych napaści, oczekując tylko stosownej pory. Liczne wieści o tych przygotowaniach dobiegały Króla; potrzeba było radzić złemu, a jak radzić, kiedy kraj skołatany wojnami, kiedy naród dzielią stronnictwa? Nieszczęśliwy Jan Kazimierz chwytą się jedyne go środka: zwołuje sejm, który ma zapobiedz spodziewanym klęskom, ochronić kraj od zguby; wszyscy to wiedzą i tłumnie garną się do Warszawy; nie w jednym sercu tli ogień święty, nie jeden spieszy dorzucić swoją kreskę do upragnionego głosu

porządku. Zbierają się wszyscy; Andrzej Maksymilian Fredro, Stolnik Lwowski, przyjmuje łaskę marszałkowską; zaczynają się obrady, wszystkie prawe dusze opromienia blask nadziei, gdy wtem wysuwa się ze swą sprawą, z ekonomią Szawelską, Siciński Poseł Upińskiego powiatu; jedni ją odrzucają, drudzy chcą zostać na później, on występuje przeciw wszystkim, i nieznanym dotąd przykładem zrywa sejm. Tłum zwolenników nieładu chwyta się jego strony, szable krzyżują się nad głowami, Marszałek zamyka obrady, i zacni mężowie ze łzami w oczach opuszczają sejmowe izby, przewidując skutki, jakie z tego bezprawia wynikną.

Kto podał tę bezbożną myśl, kto w czarnem sercu Sicińskiego zasiał zaród tylu klęsk, tylu niezgód, włożył w jego usta wyrazy, przyjęte od poczciwych ludzi złorzeczeniem, a od ciemnych wyuzdańców oklaskiem; wyrazy, na których wisi wieczne przekleństwo, nie podobna było wysledzić; różnie mówiono, różnie wnoszono, ale prawdę stoczyło robactwo, razem z obrzydłym sercem nikczemnika.

Czychający nieprzyjaciół, jakby na umówione hasło, wnet rozwinął swe siły, i wkrótce pola Batowa zalały się krwią kilku tysięcy ludzi, i wkrótce wiele rodzin opłakało zgon dzielnych ojców, mężów i synów.

.....

Pierwsze promienie wschodzącego słońca ocierały

wilgotną rosę z wyniosłej kopuły Horodelskiego kościoła, głośny dzwon wołał lud na poranne pacierze, i po rynku zaczęły się już snuć tłumy żydostwa, przebudzone nadzieją zysku.

Horodło, ten gród niegdyś zamożny, zubożał, podupadł, nawidziły go także liczne kłęski, a one zawsze jakąś pamiątkę zostawiają. Domy w rynku do połowy zawalone gruzami, rąsusz pochylony, popodpierany na wszystkie strony, jak starzec wsparty na kij, myślał o bliskim zgonie; liche kramy założone były lichszemi jeszcze towarami, tylko wody starego Bugu płynęły bystro u stóp dawnego miasta, szemrzając mu o tem co było i ciesząc terażniejszość przeszłością.

Przed domem, który wyglądał na gospodę, stał szlachcic buńczucznej miny, w krótkim, do konnej jazdy używanym kubraku, i z sążnistą szablą u boku. Patrzył na wschodzące słońce, i prawą ręką przymuskiwał wąsy, ale widać nie myślał ani o słońcu, ani o wąsach, bo jakaś niespokojność piekła go wewnątrz, i ślad aż na pomarszczoną twarz wywiodła. Często bardzo zaglądał do stajni, nagartywał koniowi obrok, przysuwał siano, jakby wzrokiem chciał go zachęcić do prędszego jada; ale siwosz nie uważał na te jego zachęty, i spokojnie przedmuchiwał sieczkę, aby do czystego owsa się dostać.

Gdy ów szlachcic już może po raz czwarty wyszedł ze stajni, z za ratusza wysunęli się dwaj jeźdźcy i wprost zmierzili ku gospodzie. Jeden z nich, młody, wysmukły,



w czarnej odzieży, drugi z postawy na Ukraińca wyglądał. Wpadli do gospody, zsiadli z koni, i młodzieniec oddawszy swego służebnemu, nie spoczął ani chwili, i zapytawszy o Wójta, poszedł ku ratuszowi. Ukraińiec przywiązał konie do żłobu, a gdy zasypywał im obrok, nieznacznie sporą miarkę przygarnął koniowi szlachcica. W kilka chwil szlachcic swoim zwyczajem znowu zajrzał do żłobu, i zdziwił się niezmiernie, że koń jego leniwo się bierze do jadła; Ukraińiec zagadał coś o złej drodze, ale nieznamy krótko odeiął, i znowu poszedł patrzeć na słońce.

.....

W ratuszowej izbie siedział pan Zbiegniew Borowski, Pisarz Horodelski, człowiek sędziwy i rozważny, a obok niego przybyły młodzieniec.

— Ależ mocium panie, jeżeli to tylko domysły, to gwałt szlachcicowi wyrządzony pachnie więzą, a co najmniej grzywnami, mówił pan Borowski, kręcąc frędzle słuckiego pasa.

— Nie domysły, panie Pisarzu Horodelski, ja za tym szlachcicem trop w trop jadę od Radziejowic, i gardło moje stawię, że on wiezie owe tajemne zmowy, o których siła mówią w Warszawie.

— Ha, źleby to było gwałtem zamykać oczy, kiedy światło się ciśnie; dalibóg, mocium panie, że głowy mi nie staje.

— Wahanie czas zabiera, a on jak uciecze to nie wróci.

— Jaby'm moją prostą głową doradził, rzekł ławnik Wojciech Broilys, że nie myśleć nie wiedzieć o czem, ale wziąć szlachcica w kluby, a jak się nic nie pokaże, to obudwóch z tym panem odesłać do Starosty.

— Zgoda!

— No, niech i tak będzie, rzecz się później spisze, a teraz do gospody sprowadzić owego szlachcica, rzekł pan Pisarz; i natychmiast dwóch ławników z pachołkami pospieszyli wykonać jego rozkaz.

W gospodzie zastali rejwach wielki: szlachcic z Ukraincem wodzili się za czuby, a obdarte uliczniki i tłumy żydostwa wrzaskiem wtórowały miotanym z obudwóch stron obelgom. O co im poszło, nikt nie wiedział, i tylko szlachcic trzymając całą garścią za łeb Ukrainca, a drugą nie szczędząc szturchańców, wrzeszczał na całe gardło:

— Chamie, łajdaku, nauczę ja ciebie, jak to się brać z szlachcicem; chłopska duszo, gadasz do szlachcica jak do równego; masz! masz! na pamiętkę, że takich jak ja trzeba z daleka omijać.

— Hola! mości panie, zawołał ławnik wchodząc, takie burdy w mieście nie uchodzą.

— Co ty mię masz uczyć łyczaku, co uchodzi a co nie; jak ja cię nauczę, to ci pewnie twoją głupią mózgownicę rozsadzę.

— Ej! nie tak bardzo, hej! sąsiedzi, przychodzę z rozkazu pana Piarza, na ratusz tego jegomości, tylko bez strachu, on nie taki cięty jak się zdaje.

Szlachcic chciał dobyć szabli, ale Ukrainiec, wiedząc zapewne o co chodzi, tak silnie ujął go za barki, że szlachcic jak długi powalił się na ziemię.

Wtenczas skoczyli pachołki, ujęli w swoje szpony pragnącego się wydrzeć jegomości, i mimo ciągłych krzyków, zabrawszy manatki, a dla respektu ująwszy go pod ręce, poprowadzili do ratusza.

— Jak się waszmość zowiesz? zapytał pan Piarz stawionego przed sobą szlachcica.

— Jan Jasiński, herbu Jasińczyk, szlachcic osiadły w ziemi Rawskiej.

— A co tu waszmość do naszego miasta sprowadza?

— Takie miasto, gdzie uczciwego podróżnego napastują, to wilcze gniazdo, a ja jadę na jarmark do Usiatynia.

— Trochę tędy nie po drodze, miasta zaś waszmość nie szkaluj, bo gdyby nie zaszła skarga, to na waszmość niktby palca nie zakrzywił. Tandem, mości panie Jasiński herbu Jasińczyk, oskarżono was, że macie przy sobie tajemne i szkodliwe pisma.

Szlachcic zbladł, i języka w gębie zapomniał.

— No, cóż waszmość na to?

— Fałsz, i kwita.

— Bardzo to krótko, ale nie ze wszystkim dobrze;



my się musimy przekonać; panowie ławnicy! obrewidujcie rzeczy, tylko z uwagą, bo to nie o fraszkę chodzi.

— Protestuję! wyjąknął szlachcic.

— A protestuj sobie waszmość tysiąc razy, to my swoje zrobimy; dalibóg szkoda mowy.

Jeszcze pan Pisarz nie dokończył tych ostatnich wyrazów, a już poczciwi mieszczanie trzęśli manatki podróznego, przejrzeni najprzód tłumoczek, obszukali odzież, wzięli się do samego szlachcica, ale nigdzie ani kawałka papieru; już zaczęli myśleć w duszy, że na próżno napastują spokojnego człowieka, gdy Ukrainiec, obracający w rękę siodło, nagle zawołał:

— Jest!

I nie namyślając się długo, dobył mały nożyk i zaczął pruć skórę pod łękiem. Szlachcic zbladł jak trup, oczy mu krągiem stanęły, usta i ręce drżały.

— A co! mospanie szlachcicu, kto z nas lepszy? ja cham, a służę tylko Bogu i poczciwym ludziom; ty szlachcic, a wozisz szelmoskie listy? no! jak ci się zdaje? rzekł Ukrainiec, wydobywając pismo starannie opieczętowane.

— Widzisz łotrze, zawołał pan Pisarz, żeś chciał nam łgarstwem oczy zamydlić; no cóż, teraz nie będziesz protestować?

— Odjęło mu mowę, rzekł jeden z ławników, a nie dawno nas wszystkich z błotem mieszał.

Młodzieniec z twarzą jaśniejącą radością odwołał na

bok pana Pisarza, pomówił z nim słów kilka, odebrał ów tajemniczy list, i skinąwszy na Ukraińca, aby się z nim zabierał, rzekł:

— Ja spieszę wypełnić dane mi rozkazy, zostawiam więc czcigodnym zwierzchnikom miasta Horodła ukaranie występku, który bodajby już był ostatni.

— O! bądźcie spokojni, odpowiedział pan Pisarz, postąpimy wedle prawa i sumienia.

— Spodziewam się.

I po niedługiej chwili dwaj podróżni przebiegli przez Horodelski rynek, i cwałem popędzili lubelskim gościńcem. Tłumy ludzi gromadziły się przed domami, stolarz rzucał nieobrobioną deskę, tkacz niedosnuty wątek, kowal gorące żelazo, przekupki odbiegały kramików, gosposie kipiącego śniadania, aby tylko obaczyć tych dziwnych ludzi, którzy spadli jak z deszczem, i narobiwszy hałasu, uciekali jak złe duchy. Różne też o nich obiegly zaraz pogadanki: jedni mówili, że to posłańcy Hetmańscy, ostrzegający miasto o spodziewanym napadzie, inni, że to jacyś Książęta Tatarscy, którzy jadą do Króla, aby się z nim na wieki pogodzić; jakaś tłusta baba zaczęła dowodzić, że to może djabli, ale ją zbił z toru młody szlusarczyk, mówiąc, że jak djabli djabłami, to jeszcze żaden z nich w dzień na świat się nie pokazał; tylko hoże dziewczęta nie wtrącały się w te gwary, one szeptały między sobą, że ci dziwni go-

ście, chłopaki co się zowie, i figlarnemi oczkami sięgały ich daleko.

.....

Straszne wieści o Batawskiej klęsce rozsiały się po całym kraju, i wszędzie zakrzątnięto się czynnie około powszechnej sprawy. Zwołano sejm, zebrał się on z pośpiechem, i w dniu 23 lipca 1652 zasiadł Jan Kazimierz, zasiedli poważni ojcowie narodu, szacowni wiekiem, dzielni zasobem własnych czynów, aby skuteczną radą zapobiedz szerzącym się klęskom.

Gdy się to dzieje w Warszawie, w Radziejowicach obszerne zamkowe podwórza napełnione są mnóstwem zbrojnej szlachty; zbiegli się oni na głos p. Radziejowskiego, ale dotąd nie wiedzą jeszcze, gdzie ich on poprowadzi. Piwnice pańskie dostarczają im miodu i piwa, kuchnie jadła po uszy; to na cóż pytać, za jaką sprawę walczyć będą? kiedy choćby to szatańska była sprawa, to oni nie opuszczą hojnego dobrodzieja.

Trąby dały znak, że pan Podkanclerzy wyszedł z zamku, i wnet kilkaset głosów krzyknęło: wiwat! i kilkaset rąk chwyciło za szable. Podano panu konia, dosiadł go, wskazał ręką ku Warszawie, ruszył, a za nim posunął się cały tłum gotowej na skinienie jego mazowieckiej szlachty.

.....



Północ już była blisko, a na ulicach Warszawy gwar-  
no jak o południu, bo w Warszawie sejm, i dworzanie  
licznych panów, którzy na sejm przybyli, chcą się za-  
poznać z miastem, aby mieli o czem przy ciepłym piw-  
ku i grzankach na wsi rozmawiać. A i panowie po  
całodziennych obradach odwiedzają się wieczorami, aby  
swobodnie o własnej biedzie pogadać. Wszędzie więc  
światła błyszczą, tylko w dworcu pana Radziejowskie-  
go ciemno, jakby w nim ludzie wymarli. Bramy zata-  
rasowane, na murach strażę, i to nie drzymią sobie  
spokojnie, ale chodzą ustawnie, zmieniając się kolejno;  
bo pan Bogusław Służka, terażniejszy posiadacz dwor-  
ca, przykazał baczość, i przywódca straży, młody Li-  
twin Mleczek, nie zasnął jego rozkazu.

Mają też czego pilnować, bo w dworcu, jako obron-  
nym, mieszka piękna pani Podkanclerzyna, a Radziejo-  
wice nie zbyt daleko, aby o Podkanclerzym zapomnieć.

— Moja Anulku, mówiła śliczna pani do jednej  
swej powierniczki, panny Anny Stężyckiej; czegoś mi  
bardzo smutno, i serce jakieś wielkie nieszczęście prze-  
powiada. Boję się tego dworca, tych czarnych murów,  
jabym swobodniejszą była w pięknych komnatach  
mojego pałacu, tamby mię przynajmniej cień Podkan-  
clerzego odstąpił. Wiesz co, Anulku, zabierzmy się i  
chodźmy.

— Co też to pani Podkanclerzyna mówi, jakby się

pan Podkomorzy dowiedział, to strach, coby było słuchać.

— Stryj wiedzieć o tem nie będzie, wymkniemy się furtką, rano wrócimy, i wszystko będzie cicho, a ja ci powiadam, że te mury mię straszą, jeżeli dziś z nich nie wyjdę, to Bóg wie co mię spotka.

— Oj! nie strach panią Podkanclerzynę ztąd pędzi, ale to, że on przyjechał.

— On! kto taki?

— Błady i smutny.

— Zkądże wiesz?

— Widziałam go.

— Pleciesz Anulku, coś ci się w oczach troi, ale nie gawędź próżno; podaj mi wełniany rańtuszek, sama się także okryj i chodźmy.

— Chodźmy, ale jak pan Podkomorzy....

— Cicho, co ci do tego, już ja się z nim rozmówię.

I w jednej prawie chwili dwa cienie wybiegły boczną furtką, i rączym krokiem pospieszyły ku murom pałacu Kazanowskich.

Zaledwie wbiegły w podwórza, gdy od Bednarskiej ulicy gwar zaczął wzrastać, i nie wiedzieć, zkąd, kilkuset zbrojnych otoczyło dworzec.

— Wysadzić bramy! zawołał pan Podkanclerzy, i na to hasło zagrzmiały strzelby, odpowiedziano im z murów, rejwach się zrobił wielki, bo w dworcu, jakby przygotowani do napaści, bronili się dzielnie. Pan Służ-

ka sam stanął na murach, nie było chwili do stracenia, straż miejska mogła się wmieszać; pan Podkanclerzy w największej wściekłości wyrывa pochodnię z rąk pachółka i podkłada ją pod bramę własnego dworcu, płomienie się wznoszą, krzyk: gore! napełnia ulicę, odzywają się dzwony, wzywając na ratunek, straszne wieści obiegają miasto, wszyscy biorą się do obrony, a pan Radziejowski, sprawca tego zamięszania, przez dopalające się szczątki bramy na czele licznej zgrai wpada w podwórza dworcu, mordując resztki broniącej się straży, która uledez musiała przemocy.

Zabezpieczywszy się od napaści tłumu, oblegającego mury dworcu i odgrażającego się odwetem, pan Radziejowski rozpoczął poszukiwania: sam przebiegł wszystkie komnaty, zajrzał w najtajemniejsze skrytki, ale widać nie znalazł czego szukał, bo wzrok płonął mu ogniem, a usta miotaly najszkaradniejsze przekleństwa.

Tymczasem dzień zawitał nad zmięszaniem trwogą miastem, i wieść o nocnych zdarzeniach dobiegła do Króla. Straż miejska otoczyła pałac Kazanowskich, zabezpieczając go od podobnej napaści, a pan Hieronim Radziejowski tego samego dnia otrzymał pozew przed sąd Opalińskiego, Marszałka Wielkiego Koronnego, o czyn zbrojnego gwałtu, pod bokiem Króla i sejmu dokonany.

.....



Gdy cała Warszawa w ruchu i wrzawie, do zamku królewskiego dąży młodzian, któregośmy widzieli w Horodle. Twarz jego, chociaż zawsze smutna i blada, wyraża jakieś wewnętrzne zadowolenie, widać, że jest w zgodzie z sercem. Puszczono go natychmiast do królewskich komnat, i po półgodzinnej rozmowie wyszedł, a Król udał się na mszę św. do kaplicy Zamkowej, z kąd w licznym orszaku odprowadzono go do sejmowej izby.

.....

Deszcz ulewny zalewał ulice, pioruny uderzały co chwila, wiatr dał gwałtowny, i wstrząsał dachy mieszkań, gdy około północy z pobliskiego dworcu Prażmowskich wyszedł jakiś człowiek i wymieniwszy hasło, wpuszczony został w podwórza strzeżone pilnie przez szlachtę mazowiecką Radziejowskich siedziby.

Człowiek ten nie zatrzymał się ani chwili, tylko poszedł prosto do jednej z izb, w której widać było światło. Zastał tam Podkanclerzego.

— Czekam na was, mości Stolniku, rzekł Radziejowski.

— Nie mogłem pospieszyć, odpowiedział przybyły, musiałem dobrze wyrozumieć Marszałka, i złe wam wieści przynoszę.

— Daj pokój Stolniku postrachom, ja się ani Marszałka ani sądu jego nie lękam.

- Ale kiedy tu nie o tem mowa.  
— Więc o czemże?  
— Listy wasze są w ręku Króla.  
— Jakie listy?  
— Listy, co je wiozł dworzanin wasz Jasiński.  
Podkanclerzy zerwał się ze stołka i pobladł.  
— To być nie może!  
— Tak jest.  
— Zkąd wiadomość?  
— Listy te były czytane w Izbie sejmowej.  
— I cóż?  
— Zle.  
— Jak to?  
— Co najmniej, banicya... jednakże ja się lękam....  
— Czego?  
— Macie wielu nieprzyjaciół, a los Samuela Zborowskiego nie zbyt jeszcze zatarty w pamięci.

Podkanclerzy przeszedł się kilka razy po izbie, w ruchach jego gwałtownych poznać można było wściekłość miotającą sercem.

— Tak, oniby radzi, abym im dowierzał jak Zborowski, ale nie z tego nie będzie; chcą krwi, będzie krew, chcą walki, będzie walka.

— Tak i Samuel mówił, a jednakże?

— On mówił, a ja uczynię, głos mój rozejdzie się szeroko, i ręka, która pochwyti miecz zemsty, nie spo-

cznie aż.... Nie dokończył, bo wszedł jakiś człowiek niski, łysy i odwołał go do przyległej izby.

Gdy po krótkiej rozmowie wyszedł, Podkanclerzy zbliżył się do Stolnika i rzekł:

— Pan Marszałek bardzo o mnie troskliwy, chce się koniecznie moim widokiem ucieszyć, ucieszy się, powiedz mu to Stolniku, ale bodajby nie dożył tej chwili. Powiedz i jej, że przekleństwo przyszłych pokoleń ciężyć będzie na jej sumieniu, że Bóg u niej dopomni się rachunku z moich czynów, u niej i u.... ale nie u niej jednej tylko! Bądź zdrow, ja teraz muszę myśleć o sobie.

.....

Na drugi dzień bramy dworcu stały otworem, bo szlachta mazowiecka, obszukawszy wszędzie i nie znalazłszy pana Podkanclerzego, przewąchała co się święci, i kryjomo wyniosła się, jak to mówią, własnym kosztem, aby nie popaść w tarapaty, i aby to co się skrupiło na panu Radziejowskim, na nich się czasem nie zmełło.

Gdy czas zapozwu wyszedł, a pan Podkanclerzy nie stawał, sprawa wytoczoną została przed sąd Marszałkowski; odczytano akt oskarżenia o zbrojny napad w czasie trwającego sejmku, przejrzano haniebne listy, wysłuchano zeznań sprowadzonego z Horodła Jasińskiego, i wkrótce wyrok w uchwałach sejmowych zapisany, ogłosił Hieronima Radziejowskiego, Podkanclerzego Koronnego, banitą!....



Piękna Elżbieta pierwsza powtórzyła to sromotne miano, i wyparłszy się ohydzonego nazwiska, powróciła do dawnego, podpisując się Kazanowską.



## XII.

**O**d Skandynawskich granic leci drapieżne pta-  
stwo, a leci czarną chmurą; przebyło sze-  
rokie Bałtyku głębie, i jeszcze leci dalej, a  
wszystkie jednego pierza, tylko przewodnik  
z innego gniazda wiedzie je na żerowisko na wła-  
sne swoje łany. Biada! srom! Cała czereda obsia-  
dła nadwiślańskie niwy, a rodzinne stada roz-  
pierzchły się w różne strony, nawet i sam ojciec nie do-  
siedział w gnieździe swoich przodków, i on musiał  
szukać bezpieczeństwa na obcych niwach, bo drapie-  
żne gromady rozsiadły się po całej jego dziedzinie i  
zmieniły ją w straszne przerażające pustkowie.

.....

W Wysokiem ruch, jak w jakim znamienitym grodzie; ani rozminąć się ze zgrają szwedzkich knechtów, wywożących z zamku kule, proch i inne wojenne przybory, i prowadzących je w różne strony ku obozom szwedzkim; ani policzyć gości, którzy na hucznych biesiadach świecą zamorskimi strojami, ani zbadać długich, tajemnych narad i doczekać się dnia, aby nie wyprowadzono dwóch albo trzech gońców do Rakowa, bo w Wysokiem główne ognisko, przy którym nie jeden opiekł swoje sumienie, i nawarzył sobie piwa, którego długo potem nie mógł wypić.

.....

W Grójcu stanął kwaterą Król Szwedzki, aby odechnąć po licznych utarczkach, i zebrać owoce tryumfów. A owoce same się do niego garnęły, nie potrzebował się po nie schylać; drzwi królewskich komnat nie zamykały się od nacisku łaszącego się tłumy, który w Karolu-Gustawie widział wschodzącą gwiazdę swego szczęścia, który upatrywał w nim to, czego on nawet w sobie nie widział. Między innemi wszedł znany nam młodzieniec, czy i on także idzie za wiatrem wiejącym od Skandynawskiego bohatera? trudno zgadnąć, bo w twarzy jakiś sprzeczny wyraz się przebija, a twarz, jak mówią, jest obrazem serca. Krótka była rozmowa młodzieńca z Królem, i po niej Król Szwedzki kazał podać



jakieś papiery, starannie je opieczętował, i powierzając młodzieńcowi rzekł :

— Pierwsze, a bardzo ważne zlecenie, od niego los wasz zależy.

Odbierający pokłonił się i wyszedł, a pełniący służbę Jenerał Steenbok zapytał o nazwisko, dla wpisania go w czerwoną księgę.

Król się uśmiechnął i rzekł:

— Zapisz go trzema gwiazdkami, bo to jeszcze tajemnica.

.....

Roku 1656, zaraz po konfederacyi Tyszowieckiej, w tym właśnie czasie, kiedy wojska szwedzkie poraziły Stefana Czarnieckiego pod Gołębiem, i kiedy Douglas oblegał Zamość, wyglądając pomocy wojsk Margrabi Badeńskiego, w Wysokiem przygotowywano się do przyjęcia licznych i znamienitych gości. Serbinowicz nie spoczął ani chwili, troszcząc się o zaopatrzenie zamku we wszystko, co tylko potrzebnem uważał, i nie spuszczać z pamięci codziennych zatrudnień. Wreszcie dano znak upragniony, i nie zadługo w licznym orszaku zbrojnych wjechali w otwarte bramy: Margrabia Badeński, Pułkownik Aschenberg Ebreinstein, pierwszy Minister i powiernik Króla Szwedzkiego, Radziwiłł i Radziejowski. Margrabia po przyjacielsku powitał Serbinowicza, grzecznie podziękował za uprzej-

mą gościnność, i zachęciwszy towarzyszy, zakrzętnął się najprzód około posiłku ciała, aby potem dłużej o interesach pomówić.

Jeszcze nie wstano od stołów, gdy oznajmiono przybycie gońca z obozu królewskiego, który przywiózł ważne bardzo rozkazy. Margrabią kazał go przywołać; wszedł cały okryty zbroją, zasłaniającą mu nawet twarz i niedozwalającą widzieć dokładnie kształtów ciała, odróżniających go jednak od pleczystych i niezgrabnych knechtów.

— Król i pan nasz miłościwy, rzekł Margrabią, odczytawszy pismo, nakazuje złożyć walną radę i na niej obmyślić skuteczne środki do wzięcia Zamościa.

— Ej! ta lepianka wejdzie nam gładko w ręce, odrzekł Aschenberg.

— Nie tak łatwo jak się zdaje, przemówił Serbinowicz, ja mam pewne wiadomości. Zamość ma dość obrońców, a nadewszystko czujne oko Sandomierskiego Wojewody; lecz jest sposób na wszystko.

Tu zaciął się, rzucił badawcze spojrzenie na nieznanego rycerza, i szepnął coś Radziejowskiemu. Radziejowski także go zmierzył, ale on nie uląkł się ich wzroku, stał spokojnie, i bawił się rękojeścią pałasza.

Upewniony tą spokojnością Podkanclerzy, wziął z rąk Margrabi list królewski, i pokazując Serbinowiczowi przypisek, rzekł:

— Patrz waszmość: »nazwisko rycerza mnie wiado-

me, lecz dla innych jest jeszcze tajemnicą». Takich tajemnic teraz bardzo wiele, a o podobieństwo nie trudno.

— Mniejsza o to wreszcie, rzekł ciszej gospodarz, moja rada krótka: niech Wasza Księżęca Mość udzieli ją Królowi, iść spiesznie pod Zamość, i działać jeszcze spieszniej. Jutro przejedzie przez obóz szlachcic jednokonnym wózkiem, hasło Szwecya, niech go strażę puszczą, a w sześć godzin potem niech wojska będą gotowe do szturm, od Lwowskiej bramy. Więcej powiedzieć nie mogę i nie powiem.

— Nie potrzeba więcej, zawołał Margrabia, nieoceniony przyjacielu, możesz być pewny...

— Dosyć, Mości Księżę; słowo wymówione, dziedzictwo stracone, mówi nasze przysłowie.

Margrabia zamilkł, i zabrał się do dania odpowiedzi Królowi.

.....

W małym miasteczku Kamionce, leżącym między Lublinem i Lubartowem, z każdej z mieszczkańskich chat ogień gorzał na kominie, i gosposie kręciły się około przyrządzenia sutszej wieczerzy dla przybyłych wieczorem wojaków.

W jednej z takich chat, na rozesłanej wilczurze odpoczywał szlachcic tęgiej miny, w krótkim, baranim kozuchu przepasanym litym pasem. Twarz jego ubrana



potężnym wąsem, nosiła ślady licznych pocałunków z nieprzyjacielską szablą, broda krótka, gęsta, a spojrzenie żywe i pełne wyrazistej dzielności, znamionowało prawdziwie męzką duszę. Koło niego siedział Ukrainiec zawadyackiej postawy, śniadego lica i ognistych oczu, bawił się z swoją krzywą szablą i dumał.

— Na biesa! mospanie, przemówił szlachcic, te psu-braty gotowe naszego chłopaka zadławić, a szkodaby go było, bo wart za trzydziestu wycackanych paniczów.

Zaledwie dokończył tych słów, gdy we drzwiach chatki stanął ten sam osłonięty goniec, któregośmy w Wysokiem widzieli.

— Przecież jestem między wami, zawołał zdejmując przyłbicę, i witając się po bratersku; ale przedewszystkiem do rzeczy.

Odwołał do komory obudwóch, i musiał im coś dobrego powiedzieć, bo szlachcic wychodząc z komory rzekł:

— Dzielnyś mój chłopcze, że aż miło, taką drogą idź dalej, a Bóg tylko wie jak wysoko zajdziesz; człowiek rośnie nie z soli ani z roli, ale z tego co go boli; takie zaś imię, co się go sobie zarobi, stokroć cudniej brzmi od imion w spuściznie nabytych, a gnijących w lenistwie lub zyskach. No, Ostapie, czas nie nasz, idź, niech dziatwa na koń wsiada, tylko upomnij, aby porządnie, bez hałasu; noc widna, przymrozek tęgi, jak się kopniemy, to upalimy mil kilka, i kto wie, może przy po-

mocy Bożej jutro zajrzemy Douglaskowi w ślepie, czy to on taki straszny jak go malują, i na wieczrę stanjemy u pani Sandomierskiej kwatery.

Ukrainiec wypełnił zlecenie, niebawem przyprowadzono białego arabczyka, dosiadł go szlachcic, szablą krzyż w powietrzu zakreślił, stanął na czele szyków, krótko a do serca przemówił, i ruszył drogą do Lubar-towa wiodącą.

Długo w uszach tęsnych dziewczeczek tętniły końskie kopyta, długo brzmiały pieśni wojaków, ale najdłużej zostało ich pożegnanie, bo ówczesny szeregowy jedną ręką trzymał szablę gotową do wydobycia, a drugą przytulał do piersi bijące serce dziewczyny!

.....

Pod Zamościem taką czerń wojska, takie mnóstwo szturmowych przyborów, że aż strach patrzeć. Tylko młody Zamość jakby nie zwracał na nic uwagi, tak hardo i błyszcząco spogląda. Jemu nie straszne te odgróзки, bo on dziedzictwo rodziny, która oparła się wszelkim wpływom wieków, bo on wielki pomnik wielkiego męża!

Wysokie baszty Zamojskich pałacu, kopuły kościoła ozłoczone promieniami zachodzącego słońca, zdają się mówić do oblegających: wy nas nie dostaniecie! i na poparcie swych słów wskazywać głębokie fosy i potężne szmigownice ziejące otwartymi gardłami.



Jednak Szwedzi na to nie uważają, krzążą się czynnie około przygotowań do szturm. Margrabia Badeński ciągle naradza się z Douglasem, i największe siły zbierają od strony Lwowskiej bramy.

.....

Stońce zaszło, marcowy przymrozek pościła wodę w kałużach, a wiatr wschodni wiał dokuczliwym chłodem. Wojska szwedzkie gotowe już były do szturm, czekano tylko znaku. Nadszedł wreszcie wieczór, taki jakiego oczekiwano, bo chmury zakryły niebo, i żadna gwiazdka nie rzuciła światłem na ruchy oblegających. Pojedyncze oddziały już podchodziły pod fosy, gdy od Lubelskiego gościńca zagrały wojenne trąby, i grzmiący głos Kasztelana Kijowskiego rozległ się hasłem do bitwy. Powstał okropny nieład, wojska nieprzygotowane do odporu zmieszały się, nie pomogły czynne działania Douglasa, wołał, krzyczał, przeklinał niemieckim i angielskim językiem, a knechtów ani złapać do porządku; każdy uciekał gdzie mógł, drapał wreszcie i Margrabia, postraszony ścierającymi się do koła szablami, i Anglik, choć ostatni, pomyślał o własnem ocaleniu, zaklął raz jeszcze i poszedł za innemi. Tak we dwie godziny niespełna pod Zamościem nie było Szweda na pokazanie, tylko na równinach go otaczających zostały obozowe sprzęty i obleżnicze przybory.

Trzy dni siedzieli szeregowej na karkach uciekają-

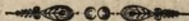


cym, a nad Sanem tak ich pięknie pożegnali, że Margrabia ze swoim sztabem zaledwie zdołał uciec za rzekę. Po tem pożegnaniu wrócił Stefan Czarniecki, ów szlachcic w baranym kozuchu pod Zamość, aby powitać uwolnionych z obleżenia. Jan Zamojski, Wojewoda Sandomierski, w otwarte ramiona przyjął dzielnego wojownika, który wtedy ani razu brody nie pokręcił, tylko muskał wąsy i mówił:

— Kończmy jak zaczęliśmy, a przy pomocy Bożej przyszłe pokolenia nie bryzną naszym cieniem, żeśmy zaspali publiczną sprawę.

Koło Kasztelana był znany nam młodzieniec. Wojewoda był dla niego uprzejmym i przy stole okok swojej Marysiénki posadził

W późniejszych czasach znaleziono w podkopach pod Lwowską bramą kilka beczek prochu, kto je tam wstawił, różne biegały domysły, ale o prawdzie nikt nie mógł się dowiedzieć.





### XIII.

**Z**prawdziły się słowa Starowolskiego. Karol-Gustaw wkrótce poznał, że Bóg jest łaskawy, a los odmienny, i zaczął myśleć już nie o tem, co zamierzył, ale o własnem ocaleniu.

Jasno słońce świeciło nad Koziemiecką bitwą, jasno nad utarczką pod Warką, jaśniej przyświecało Warszawie, w dniu 1 lipca radującej się zwycięstwem, ale najjaśniej zeszło w owym dniu pamiętnym, kiedy Jan Kazimierz w Częstochowie na ołtarzu Matki Bożej złożył swoją koronę, błagając jej opiekę nad skołatany wojnami krajem.

Cudny to był zaiste widok, kiedy Król, ojciec, zasiadł na nowo w gronie swych dziatki, kiedy tron jego oto-



czyli siwobrode starcy, w kapłańskich i świeckich szatach, a on razem z niemi zakrzętnął się około nagrodzenia tych co go w nieszczęściu nie odbiegli, i ukarania występnych, którzy nie wahali się pomagać złym zamiarom, podwajając nagromadzone klęski. Nadzieja i radość ożywiła prawe serca pierwszych, przestрах i zwątpienie otoczyły drugich, bo dobrze mówi dawne porzekadło nasze przysłowie, że jaką kto miarką mierzył, taką będzie miał odmierzone.

.....

Na Śto-Jańskiej ulicy, w domu Moskorzewskiego wcześniej zawarto bramy, widać dla tego, żeby nikt nie przeszkadzał zebranyim kilkunastu starcom na jakąś ważną naradę.

— Zagrożeni jesteście wielkiem nieszczęściem, mówił Serbinowicz, nieprzyjaciele nasi podnieśli głowy, i na nasze barki walą cały ciężar wypadków. Położenie jest okropne, lada chwila spadnie srogi wyrok, któremu siły nasze nie oprą się, i kto wie bracia, czy nam jeszcze zostaje tyle czasu, co Niniwitom do odwrócenia groźnego ciosu! Radźcie więc, radźcie przez miłość powszechnego dobra, a jakiegokolwiek wypadnie ponieść ofiary, bodajby z własnem poświęceniem, ponieśmy je, bo gdzie środków mało, tam wybór krótki!

— Radzić, odpowiedział Moskorzewski, radzić, kiedy wszyscy przeciwko nam, to mało; działać, kiedy skarby

wyczerpnięte i ciało bezsilne, to głupstwo; poddać się losowi, to słabość dziecinna. Cóż więc bracia czynić nam wypada? Lekarz, kiedy chce pomódz choremu, to szuka początku choroby i stara się, aby te same zarody, które ją rozwinęły, działały znów odwrotnie, rozumiecie mię?

— Mówisz o Maksymianie?

— Tak.

— Zapewne, lecz gdzie sposób?

— Tonący brzytwy się chwyta.

— Nie pojmuję?

Moskorzewski napisał kilka słów na leżącym przed nim papierze, podał w kolej obecnym, i rzekł:

— Przysięgnie, wrócimy mu imię i dostatki; odmówi, to przynajmniej zbrodnia nie zostanie bez kary.

— Zgoda, lecz...

— Żadne lecz, my nie mamy już nic do stracenia, a tym jedynie sposobem możemy być ocaleni.

— Zgoda! zawołali wszyscy.

— Tak, to co innego, jutro w tem samym miejscu zdanie sprawy, a teraz spieszyć i działać!!

.....

W gospodzie pod Białym Baranem w oddzielnej izdebce siedział znany nam kulawy Franciszek z niskim i łysym jegomością, zapijając smaczny miodek.

— I wielez się gaszków koło waszej pani teraz kręci? zapytał łysy.

— Aj mój jegomość, palców u rąk i u nógby nie wystarczyło, żeby chcieć ich policzyć.

— Przecież, którzy największy mają for?

— Już to co do tego, to pan Adam Kazanowski najgęściej się uwija, ale pani nie koniecznie mu rada. Ona rozmiłowała się strasznie w jakimś bladym młokosie, który, jak ludzie mówią, czarami ją do siebie przyciągnął.

— Cóż to za jeden?

— A djabeł go wie, mieszka na Starem mieście, a zamyka się aż na trzy rygle, i mnie jednemu tylko otwiera, jak pięć razy zapukam.

— Cóż wy z nim macie do czynienia?

— Pani poseła to z tem, to z owem, i człowiek choć nie rad, iść musi.

— A czy nie zaprowadzilibyście mnie do jego mieszkania?

— Ho! ho! co się jegomości zachciewa.

— Ej co tam korowody, oto za fatygę mieszek spory, a w nim, niech mię djabli porwą, same czerwone złote.

Franciszek spojrział na leżący przed łysym skórzany woreczek, i oczy mu się zaiskrzyły.

— Cóż jegomość z nim ma do roboty?

— Obrachunek, niech tego miodu nie przetkaę, nie więcej. Oto widzicie, on mi winien kilka tysięcy, i teraz zamyka się, żebym go o dług nie naciskał.



— No, to dajcie mieszek.

— Dam, ale po wszystkiem.

— He, he! ktoby jegomości wierzył, kiedy jegomość ma człowieka za szalbierza.

— Weźcie, ale stawcie się w słowie.

— Jak jeden a jeden dwa; kiedy jegomość każe?

— Dziś przed wieczorem.

— Dobrze, bo nawet zawsze o tym czasie u niego bywam.

— Do was!

— Za zdrowie jegomości!

I łyknęli spore szklenice miodu.

.....

Na Starem mieście, w kamienicy pod gwiazdą, przez cudzoziemca Baziana niedawno nabytej, w ciasnem podwórzu na dole, obok ciągnących się wzdłuż składów sklepowych, była izdebka z zakratowanemi oknami, ciasna, ciemna, a jednak dla swego odosobnienia zawsze prawie zamieszкана.

W izdebce tej siedział Maksymian, bo i on musi unikać ludzi, szukać podobnego schronienia, choć serce jego czyste, choć sumienia nie ciśnie żaden występек. Ale otoczony niebezpieczeństwem, czy może dowierzać własnej sile, czy może jej zaufać?!

Miasto wreszwarem stronnictw, krzyżują się zdania, jedni potępiają, drudzy bronią potępionych, tajemne

zabiegi rozsiewają między ludem najkłamliwsze wieści, a każda z takich wieści znajduje zaraz obrońców, którzy z dobytą do połowy szablą czekają przeciwników. Swary, burdy, napaści, idą w ślad za stopami ludzi, szukających w nieładzie i zamieszaniu własnego ocalenia.

Maksymian zna tych ludzi, wie do czego są zdolni, więc czy może być spokojnym, czy nie musi myśleć o bezpiecznym schronieniu?

Mrok coraz gęściejsze rozpościerał szaty, podwórze było puste, żywa dusza przez nie nie przeszła, jakby dom był zaklęty albo nawiedzony zarazą.

Młodzieniec to przechadzał się po izbie, to wyglądał przez kraty; jakieś oczekiwanie uwijało się po zasepio-nem jego obliczu, widać zbliżała się godzina, w której jedno miłe słówko, jedno pozdrowienie, niosło balsam pociechy w stęśnzione do niej serce.

Zapalił świecę, i chciał jeszcze wyrzeć, gdy pięć razy we drzwi zapukano.

Zgorączkowym pospiechem otworzył drzwi, lecz cofnął się o kilka kroków, bo we drzwiach, zamiast oczekiwanego Franciszka, spostrzegł Moskorzewskiego.

Jeszcze starzec nie przestąpił progu, a już Maksymian stanął przed nim przygotowany do obrony.

— Kiedy przychodzą do ciebie z pokojem, to nie dobywaj miecza, mówi 17 rozdział księgi życia, a ty Maksymianie, spotykasz mnie zbrojno, mnie, wstępującego w twoje progi z pokojem.

— Ojcze, nie okrywaj maską twego oblicza, ty przychodzisz w imię pokoju, a zbrodnię niesiesz w sercu!

— Jaby m powinien tak wejść Maksymianie, aby zapłacić los, jakiś nam zgotował; patrz: oto relacya sejmowa wkrótce stanie się prawem, a nas i nasze rodziny zamieni w tułaczy! Tyś sprawcą tej okrutnej doli, a my jednak nie ścigamy cię zemstą, nie szukamy twojej krwi, chcemy tylko przemówić raz jeszcze do ciebie słowami nieszczęśliwych, i przebaczyć ci!

— Nie bluźń Ojcze, nie mów o przebaczeniu, bo ja to wam tylko miałbym wiele do przebaczenia. Obračuj się z sumieniem, zakryj oczy na własny interes i powiedz szczerze z serca: kto wam zgotował los jaki was czeka? Nie ja, nie Król, nie naród, ale wasze występki! one was potępiły, bo złe czyny muszą otrzymać według zasług zapłatę!

— Nie sądź, abyś nie był sądzony, nie sięgaj wzrokiem w czyny, których środka nie zgłębisz. Maksymianie, to wielkie prawdy i nikt im nie może bez obrazy rozsądku zaprzeczyć. Ty się chcesz naszymi postępkami zasłonić. patrz w swoje, a dojrzysz ślady niewdzięczności! Ale dość tego, przyszedłem tu w innym celu, wymówki niewczesne do niczego nie doprowadzą, rzeki nie wstrzymasz w biegu, działań dokonanych nie cofniesz. Słuchaj mię, Maksymianie: jeszcze jest czas, już nie mówię zmienić ale osłodzić naszą dolę; w twoim



ręku są gromy, rzucisz je, upadniemy, wstrzymasz rękę, byt nasz będzie znośniejszy.

— Nie, nigdy!

— Nie przerywaj, ofiara za ofiarę, co wiesz dotąd o swoim urodzeniu?

— To, co od was tyle razy słyszałem.

— I nic więcej?...

— Nic, prócz własnych domysłów.

— A te domysły?

— Że wasze słowa były kłamstwem.

— Tak jest, żądano od nas tego, ale powiedziałem: ofiara za ofiarę, czy chcesz odkrycia?

— Czy ja chcę? Ojczy, po co pytanie? ja tego pragnę.

— Przysięgnij więc.

— Na co?

— Że staniesz przed zgromadzonym sejmem i odwołasz oskarżenia.

— Zręczny podstęp ojczy, ale dzięki Bogu, znamy was bardzo dobrze, lepiej aniżeli się spodziewacie.

— Podstęp! powtórzył z uniesieniem Moskorzewski, podstęp, nie uwierzysz mi młodzieńcze, na moją duszę, na moje siwe włosy, przysięgam ci, że to prawda.

— W Rakowie i w Wysokiem słyszałem straszniejsze nie raz przysięgi, a gdzie ich spełnienie?!

— Szatanie!... słuchaj! zawołał z wzrastającym zapalem. Urodziłeś się, nie w wieśniaczej lepiance, ale w starożytnym Goślickim zamku. Ojcem twoim był Krzy-

sztof Morsztyn, Kasztelan Czernichowski (1), matką Kunegunda z Daniłowiczów. Matka umarła przy wydaniu cię na świat, ojca zamordowali Tatarzy. Z pożogi zamkowej uniosła cię niewiasta, twoja mamka, liczyłeś wtedy dwa lata. Po kilkonasto-dniowem tułactwie oddała cię poczciwa kobieta w ręce stryja. Stryj się tego nie spodziewał, na ciebie spadały bogate Goślickie włości, on chciał je dziedziczyć. Zażądał od nas ofiary, przyjęliśmy ją, bo on nam podał rękę, i niezadługo twoja wybawicielka pod lodami Dniepru odebrała nagrodę swego czynu, a ty przeszedłeś do nas. Stryj twój już umarł, ale synowie jego dziedziczą obszerne włości..... patrz: oto jest dowód prawdy słów moich, ten pergamin wróci ci imię i dostatki, ale wróci wtedy, gdy wykonasz co żądamy.

— A jeżeli odmówię?

— To ten dowód na wieki zaginie.

— Zaniosę protestacyę, powołam się na wasze słowa.

— Próżny trud, nas tu jest tylko dwóch, a ściany za świadków służyć nie mogą.

— Więc nie ma innego sposobu?

— Nie!...

— No, kiedy tak, to posłuchaj mię ojczę! Oddawna obijały się o moje uszy pokątne wieści, że urodzenie moje osłoniliście kłamstwem, pragnąłem zedrzeć tę za-

---

1) Klejnoty Szlacheckie—Lwów r. 1698 druk. Soc. Jesu. Niesiecki, Witte Diar.

łone, aby wiedzieć, komu winienem życie. Bóg wysłuchał mię. Inny na mojem miejscu poszedłby za błyskotką, którą mu pokazujecie, zapragnąłby dostatków, sprzedałby za nie swoje sumienie i kraj, a ja brzydzę się majątkiem, nad którym ciąży tyle zbrodni, gardzę własnością, którą musiałbym zdobyć zhańbieniem mojej rodziny. Rozumiesz mię, Ojcze, gardzę!!... Wychowałem się ubogim, przywykłem do niewygód, nie łaknę więc mienia, i za skarby świata nie zaprzędam mojej powinności. O jedną łaskę tylko was proszę, będzie ona wynagrodzeniem krzywd, jakich od was doświadczyłem: zatrzymajcie dowody własności majątku, a wróćcie mi tylko imię.

— Wszystko, albo nic...

— Ha, to nie!

— Człowiecze zastanów się, nie odpychaj szczęścia, które ci się ciśnie w ręce.

— Szczęścia? szydzisz ze mnie Ojcze; twoje szczęście, którebym kupił hańbą, niedolą mego kraju, wołałoby o pomstę do Boga. Znosiłem biedę przez lat tyle, zniosę ją i dłużej, a może też i dla mnie kiedy jaśniejsza gwiazda zaświeci.

— Zaświeci, i to nie długo, odrzekł ponurym głosem Moskorzewski; zaświeci, bądź tego pewny... Na naszej niedoli, na naszych łzach budujesz swoją przyszłość, ale drzyj! runie ten gmach nim jeszcze funda-



menta powstaną, ręka, która niosła gałązkę pokoju-  
udźwignie także miecz zemsty, zemsty, rozumiesz mię?!

— Rozumiem.

— To raz jeszcze powtarzam, drzyj!...

Nie czekając \*odpowiedzi, starzec odwrócił się i wy-  
szedł.

Zaledwie przestąpił próg kamienicy, i znalazł się na  
rynku, otoczyło go kilku oczekujących jego przybycia.

— No i cóż?

— Pierwsza część planu nie udała się, druga będzie  
skuteczniejsza.

— Kto wie!..

— Dla czego?

— Bo on jutro ma stanąć przed sejmem, a wtedy  
wszystko przepadło.

— Zkądże ta wiadomość?

— Serbinowicz przyniósł ją od Marszałka.

— Ha, to jutro jeszcze daleko, a nam potrzeba tylko  
jednej chwili.

— I sposobności.

— Wierzyć i czekać,—już ja to biorę na siebie.

W mowie jego była taka pewność, takie zaufanie w  
swej sile, że zgromadzenie uliczne zaczęło się rozcho-  
dzić, i został tylko Serbinowicz.

— A cóż się stało z dowodem?

— Mam go przy sobie.

— Więc odrzucił imię i majątek?

— Odrzucił.

— Niepojęty człowiek!

— Szatan!

Dwaj starcy zamienili jeszcze kilka niezrozumiałych, pojedynczych wyrazów, i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Na rynku było jeszcze dość gwarно, ale z każdą chwilą ruch się zmniejszał, bo już na mieście gaszenie ognia po raz pierwszy otrąbiono.

.....

Czerwona łuna wznosi się nad Starem miastem, dym w czarnych słupach leci pod obłoki, wiatr miota pęki iskier na dachy, i pędzi je w najodleglejsze dzielnice. Jeden, dwa, potem kilka i kilkadziesiąt dzwonów roznoszą trwogę niebezpieczeństwa, krzyk: gore! gore! napełnia wszystkie zakątki, budzą się spokojni mieszkańcy, jedni z płaczem pakują odzież i sprzęty, drudzy spieszą na ratunek. Rynek Starego miasta zapchany ludem, krzyk, srom, łkania, jak w dniu Sądu Bożego, a łuna coraz wyżej się wznosi i oskrzydla sąsiednie kamienice. Gore dom cudzoziemca Baziana, już płomienie pożarły dach i przeciskają się do wyższych piątr, z niższych wyrzucają tłomoki, obicia i sprzęty; trudno dla ciasnoty przystąpić, a tu jeszcze główne wejście żelaznymi drzwiami zaparte, i kluczy nie można wynaleźć. Już i ciemne podwórze, choć osłonięte wystawą, zaczyna się

rozwidniać, bo wiatr wystawę przenosi i rzuca garści iskier. Gorąco jak w piekle, a jednak u wnijscia do izdebki stoi jakiś człowiek, oczy mu błyszczą, jak rozżarzone węgle, włosy siwe powstały do góry, w twarzy jakiś straszny wyraz niemej wściekłości. Utkwił wzrok we drzwi izby, i czeka.... Posłyszał wreszcie szmer w izbie, nateżył uwagę, wyciągnął rękę i stoi jak widmo potępienia; a łuna coraz bardziej bije w okna, skrzypnęły rygle raz drugi i trzeci, z izby wybiegł Maksymian i już miał próg przestąpić, gdy spostrzegł krwawem światłem oblaną postać starca;.... zadrżał i chciał się cofnąć.

— To twoja gwiazda świeci! krzyknął grobowym głosem, i w tej samej chwili rozległ się strzał, pochłonięty biciem dzwonów, traskiem pożaru i gwarem ulicznym.

Maksymian jęknął boleśnie, krew buchnęła mu z piersi, zatoczył się i upadł.

Starzec obrzucił do koła piekielnym wzrokiem, otrząsnął kilka iskier z odzieży, i jednym tchem przebiegł podwórze. Stał przed żelaznemi drzwiami, dobył klucze, otworzył, i nie zważając na podnoszące się ze wsząd wrzaski, przeskoczył próg i zmieszał się z tłumem.

— To podpalacz!

— To zbrodniarz!

— To szatan!



Wołano do koła, a tymczasem starzec zniknął, i lud zaczął się tłoczyć w otwarte drzwi kamienicy.

Pomiędzy temi, którzy najuporczywiej cisnęli się do drzwi, był Ostap Ukrainiec. Znużony, prawie bez tchu, rozpychał łokciami tłumy, i dążył wprost w podwórze. Dostał się wreszcie do drzwi, a nie zważając na otaczające go niebezpieczeństwo, i przeskakując żarzące się węgle, stanął wreszcie u drzwi znanej nam izby. Trup leżał na progu, łuna opromieniła go swem światłem.

— O mój jedyny, serdeczny panie! cóż się to z tobą stało! zajęczał Ukrainiec, porwał trupa na ręce, i tuląc go do siebie, wybiegł na ulicę.

Lud przestraszony rozstąpił się, dziwne gwary zmieniły się w jeden okrzyk zgrozy, a Ostap złożył swój ciężar na rozpostartej przez innych odzieży, ukląkł na ziemi, i rozplakał się jak dziecko.

— Już i mnie nie żyć, kiedy ty nie żyjesz, moje kochanie, moje złotko! Ja głupiec piłem miód i bałamuciałem, a ciebie szelmy zamordowali! o doło moja biedna! o biedny mój, jedyny panie!

Tak jęczał Ukrainiec, zachodząc się od żalu, i ściskając martwe ciało młodzieńca, a w koło niego zbierały się liczne tłumy; przyszli wreszcie ławnicy, rozpytali się o wszystko, kazali zanieść zwłoki do ratusza, i posłać po lekarza, ale już wszystko zapóźno, bo życia żaden lekarz nie wróci, *Aryba San Huronski.* -

.....

Dzwony kościołów Warszawskich jęczały pieśń żałoby, ze Starego miasta wyciągał orszak pogrzebowy. Księży i światła mnóstwo, a ludu jeszcze więcej; sam Król, otoczony gronem Senatorów, idzie zaraz za trumną. Stanęli przed kościołem Panny Maryi, trumnę wniesiono na smętarz, grób był już przygotowany.

Kiedy odkryto wieko, przecisnął się przez tłum ludu Ukrainiec, ukląkł przy trumnie, i jęcząc boleśnie rzucił się na martwe zwłoki, aby je jeszcze do piersi swoich przycisnąć. Dzwony znów się odezwały i już trumnę miano spuścić do grobu, gdy jęk bolesny wydarł się z pomiędzy tłumu i kobieta osłonięta czarnym welonem zemdlała.

Szmer podziwienia rozległ się do koła, bo w kobiecie tej poznano piękną Elżbietę!

Za rozkazem królewskim udzielono jej spieszny ratunek, a grób młodzieńca wkrótce się pokrył mogiłą.

.....

W kilka dni wieść szybka jak piorun rozniosła się po całej Warszawie, że sejm, ponowiwszy ustawy sejmu Piotrkowskiego, skazał wyznawców Fausta Socyana na wygnanie. (1)

Cisami starcy, których widzieliśmy na Sto-Jańskiej ulicy, rzucili się do nóg królewskich. Ale Jan Kazimierz odepchnął niegodnych swej łaski, rzekłszy im owe pa-

---

1) Vol. leg. T. IV pag. 584.



miętne słowa: »Idźcie, gdy obcych przenosicie nad swoich!»

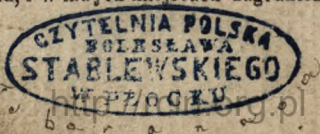
Wkrótce rozbiegły się pomiędzy ludem małe książeczki, w których zarzucano Królowi, że łamał przysięgę, że wszystkie przybierane pozory są fałszem, bo Król wypełnia tylko ślub w Częstochowie uczyniony, a przez Jezuitów poddany, że przekleństwo niewinnych ciężyć będzie nad całym narodem. (1) Książeczki te jednak nie wywołały współczucia, bo od czasu pamiętnego pożaru nie było go już w sercach zniechęconego przeciw tajemniczemu zabiegom ludu. Wyrok utrzymał się w swej mocy i pozostawiono tylko wygnanym dwa lata czasu do wyprzedania się z majątności i opuszczenia ziemi, której złemi byli dziećmi.

Piękna Elżbieta, oblokłszy serce w żalobę, porzuciła Warszawę, osiadła w dalekim zakątku, aby w ustroju nad zmiennym i smutnym swym losem popłakać.

Pan Adam Kazanowski, rozgniewany zawodem, jakiego doznał, przeklinając szaloną swą miłość, wybrał się zwidzić obce kraje, i pod ich wpływem zapomniał widać o czarnookiej krewniaczce, bo wróciwszy ożenił się z Wojewodzianką Kaliską.

---

1) Książeczki te były początkiem tylko skarg, żalów i potwarzy, jakie Aryanie w Kluczborgu (w Śląsku) dnia 17 czerwca 1661 roku, i w innych miejscach zagranicznych drukiem ogłosili.





Hieronim Radziejowski, dręczony wyrzutami sumienia, zaczął przez Mikołaja Krosnowskiego, Arcybiskupa Lwowskiego, prosić o przebaczenie; uzyskał je, wrócił, ale nie mógł znieść widoku kraju, na który ściągnął tyle nieszczęść, i osiadł w Konstantynopolu.

Ukrainiec Ostap poszedł w swoje strony, i przez całe życie nie mógł sobie darować, że pił miód wtenczas, kiedy pana jego zamordowano. Nie miłe mu już były rodzinne stępy, nie chciał patrzeć na wabiące uśmiechy dziewcząt, bo serce i swobodę pochował na smętarzu kościoła Panny Maryi.

A czas na swoje motowidło motał godziny na dnie, dnie na miesiące, miesiące na lata, i wiązał je w pasma wypadków. Ubiegły dni zakreślone, przyszedł fatalny termin wygnania!

Z Wysockiego zamku wyszła gromadka ludzi, siwy starzec był na ich czele, wiatr rozwiewał mu białe włosy i miótł niemi po siwej twarzy, łzy błyszczały w przygastłych oczach.

— Żegnam was! drogie miejsca! zawołał, żegnam na zawsze! garść obcej ziemi przysypie nędzne ciało, nie spoczne tu, gdzie dni moje ubiegły! stało się, żyjące pokolenia głuche, potomność o naszą krzywdę się upomni!

Rzekł, i raz jeszcze obejrzał się na stary zamek, a zamek zachwiał się, ziemia zadrżała, i cała budowa roz-

sypała się w gruzy. Wiatr rozniósł kłęby dymu wonie-  
jące siarką i zgliszczem, gromadka ludzi udała się w  
dalszą drogę, i zostały tylko gruzy na postrach i dziwo-  
wisko.



K O N I E C .

Początek.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-83

## SPROSTOWANIA.

<i>Sironica:</i>	<i>jest:</i>	<i>być powinno:</i>
6.	Cekowski	Cikowski
7.	Herbercie	Herbstcie
7.	Dudzit	Duditz
7.	Zadzik	Żadzik
13.	r. 1713	1613
przypis	Siemińskich	Sienińskich
32.	tak	to
56.	mam	masz
67.	Joannes	Joanus
111.	Krakowskiego	Krasnostawskiego
129.	bardzo	hardo
137.	pieniądz	pieniądze
145.	wuj	stryj
151.	Broińs	Brojtys
155.	Batawskiej	Batowskiej















F

3609